

TYM RAZEM PORCJA LISTOW

jakiej dawno nie było (str. 5-7)

TYGODNIK
SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

ROK LXX ● NR 9 ● 1 III 1987 r.
CENA 15 zł



GŁOS

NAUCZYCIELSKI

Ponadto w numerze:

- O MOSKIEWSKIM FORUM
- CZUJĘ SIĘ BIUROKRATĄ
praca konkursowa
- POD ZNAKIEM REGULAMINU
prezydium ZG
- PIJE KUBA...

JAKI JESTEŚ POLONISTO?

STANISŁAW GNOIŃSKI

DAJCIE ODSAPNĄĆ!

Jako długoletni nauczyciel języka polskiego czuję się poniekąd zobowiązany do wzięcia udziału w dyskusji na temat polonistyki szkolnej, temat tak mi bliski, mimo że proponowana forma wypowiedzi niezupełnie trafia mi do przekonania. Dyskusja bowiem — to żywa wymiana zdań, to wspólne rozpatrywanie jakiegoś zagadnienia. Trudno zaś o tym mówić, kiedy od jednej wypowiedzi do drugiej mijają tygodnie, miesiące...

Tak czy owak, problem zdaje się niebagatelny. Biada się nad katastrofalnym stanem ortografii, nad niedomogami w zakresie gramatyki, nieznajomością najprostszych pojęć z teorii literatury, wreszcie nad ogólną bezmyślnością i zatrutą umiejętnością jasnego i komunikatywnego wypowiadania się po polsku.



Przed nauczycielką języka polskiego ELŻBIETĄ SMOCZYŃSKĄ i jej uczniami ze Szkoły Podstawowej w Skarlinie impreza związana z rocznicą wyzwolenia Kujaw, do której właśnie trwają przy gotowaniu.
Fot. MAREK SUCHECKI

WCIAŻ BEZ PERSPEKTYW

— Wśród doświadczonych nauczycieli, w kręgach działaczy ZNP można zaobserwować narastający niepokój z powodu niejasnych perspektyw naszej edukacji. Z konfrontacji rozwoju różnych dziedzin naszego życia wynika, że oświata jest w tej chwili jedyną dziedziną, w której nie prowadzi się dyskusji o jej przyszłości. Od kilku lat poprzestajemy na tym, co oficjalnie określa się jako doskonalenie ośmiolatków i jej nadbudowy. Te działania nie satysfakcjonują chyba wszystkich zainteresowanych. Postęp jest zbyt powolny, trudności nie maleją, a zarazem brak wizji, która mogłaby zafrapować. Czy zdaniem Pana Profesora przedłużanie takiego stanu służy polskiej edukacji?

— Zmusza mnie pan do wyrażenia dość banalnego poglądu, że trudno sobie wyobrazić jakąkolwiek ważną dziedzinę życia, która mogłaby się skutecznie rozwijać bezplanowo. Jeśli chcemy by nasz system edukacyjny funkcjonował sprawnie, musimy mieć do dyspozycji perspektywiczny, w miarę możliwości wariantowy, program rozwoju.

ROZMAWIAMY

Z profesorem CZESŁAWEM KUPISIEWICZEM z Uniwersytetu Warszawskiego o skutkach braku programu rozwoju naszej edukacji, potrzebie bilansu pasywów, białych plamach w szkolnej infrastrukturze, przewidywaniu trudności kadrowych, progach selekcyjnych, potrzebie zmian w strukturze i funkcjach wyższych uczelni.

Kiedyś władze oświatowe same opracowywały takie programy, że przypomnę reformę podjętą w latach sześćdziesiątych przez ówczesnego ministra oświaty, Wacława Tułodzińskiego. Nakreślone wówczas

trwałe perspektywy okazały się wyjątkowo żywotne a rozwiązania trwałe. Oświatowa bowiem ustawa z 1961 roku nadal funkcjonuje. Czasy się jednak zmieniły i jeśli chcemy dziś, niezależnie od warunków, które są trudne, mówić o sprawniejszej pracy systemu edukacji, to niezbędny jest do tego program rozwoju obliczony przynajmniej na lat piętnaście.

— Nie znam leżącego się naukowca, który by próbował kwestionować ten ogólny pogląd. Ale zważywszy, że spośród powołanych przez Komisję Reformy Gospodarczej kilkunastu zespołów nawet Zespół XIII, który między innymi miał określić miejsce oświaty i wychowania w warunkach reformy gospodarczej, nie wypowiedział się w sposób włączający w tę sprawę.

— Jest to niewątpliwie mankament. Przecież jeszcze nie tak dawno ekonomiści, od radzieckiego uczonego Strumillina poczynawszy, a na naszych specjalistach kończąc, wykazywali w sposób bezsporny, że inwestowanie w oświatę jest najbardziej opłacalne. Warto jednak zwrócić uwagę, że

lata osiemdziesiąte nie są łaskawe dla edukacji, zresztą nie tylko u nas. Minęły bowiem i przebrzmiały echa tego, co nazywano w latach sześćdziesiątych eksplozją szkolną z uwagi na masowe zapisy do szkół średnich i wyższych. Poniechane zostały ambitne próby i projekty tak zwanych globalnych reform szkolnych charakterystyczne dla pierwszej połowy lat siedemdziesiątych. Coraz rzadziej wysuwa się też obecnie wspomniany już w tej rozmowie postulat o potrzebie inwestowania w oświatę.

Ale niezależnie od tych niezbyt łaskawych warunków nasz system edukacyjny musi przecież funkcjonować, a nawet rozwijać się. Dlatego też niezbędne jest opracowanie jakby bilansu edukacyjnego, w którym trzeba by zestawzić aktywa na ogół znane, jak też pasywa. Z istnienia i zasięgu

KRONIKA

(od poniedziałku
do niedzieli)

• ZADANIA KOMISJI PEDAGOGICZNYCH

2 lutego odbyło się spotkanie przewodniczących okręgowych komisji pedagogicznych ZNP. W czasie spotkania omówiono aktualne problemy pracy związkowej, programowanie i planowanie pracy komisji pedagogicznych różnych szczebli oraz ich współdziałanie w realizacji programu działania ZNP.

• SZKOLENIE W JADWISINIE

W dniach 16 i 17 lutego odbyło się szkolenie przewodniczących ogólnokrajowych organizacji związkowych. Organizatorem szkolenia było Centrum Studiów Związkowych. W realizacji problematyki szkoleniowej uczestniczyli przedstawiciele KC PZPR, MPPISS oraz kierownictwo OPZZ.

• BIAŁOSTOCKIE SPOTKANIA

Prezes ZG ZNP Kazimierz Piłat w dniach 18 i 19 lutego przebywał w Białymstoku. W tym czasie uczestniczył w spotkaniu z wojewodą, kuratorem oświaty i wychowania oraz spotkał się z aktywnym związkowym i oświatowym Białegostoku i Hajnówki. W czasie tych spotkań dyskutowano aktualne problemy funkcjonowania oświaty, kierowania i zarządzania, zawodu nauczycielskiego oraz warunków życia emerytów i rencistów.

• W SEKCJACH ZAWODOWYCH

Zarząd Sekcji Opieki nad Dzieckiem i Wychowania Pozaszkolnego przy udziale przedstawicieli Sekcji Ogólnokształcącej 17 lutego omówił problemy dorożowania do szkoły dzieci i młodzieży.

• W SEKCJI PRACOWNIKÓW ADMINISTRACJI I OBSŁUGI

20 lutego odbyło się spotkanie z przewodniczącymi okręgowych sekcji pracowników administracji i obsługi. W czasie spotkania poinformowano przewodniczących o planie pracy sekcji krajowej oraz o przygotowaniach do opracowania projektu układu zbiorowego pracy normującego prawa i obowiązki tej grupy pracowników.

• SPOTKANIE W ZG ZNP

Aktyw związkowy z Gdańska uczestniczył (21 lutego) w spotkaniach z podsekretarzem stanu w MOiW — Wacławem Kupperem oraz wiceprezesa ZG ZNP — Michałem Langowskim. W czasie spotkań omówiono aktualne problemy oświaty i wychowania oraz działalność związku.

• PROBLEMY SPORTU I TURYSTYKI

Na konferencji, w której uczestniczyli przewodniczący okręgowych (wojewódzkich) rad kultury fizycznej i turystyki (21 lutego) omówiono stan przygotowań do posiedzenia ZG ZNP na ten temat oraz warunki realizacji planów i harmonogramów działania tj. kalendarzy imprez centralnych i regionalnych.

• SEKRETARIAT KRN ZNP

17 lutego odbyło się posiedzenie Sekretariatu Krajowej Rady Nauki ZNP z udziałem: prof. dr hab. Klemensa Głównego — przewodniczącego Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Stefana Nawrockiego — dyrektora Biura Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego. W trakcie spotkania wymieniono informacje o dotychczasowych działaniach i zamierzeniach Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Związku Nauczycielstwa Polskiego. Zasygnalizowano możliwości współdziałania.

• W SEKCJACH KRN ZNP

Na inauguracyjnym posiedzeniu Sekcji Pracowników Bibliotek i Ośrodków Informacji Naukowo-Technicznej, 19 lutego omówiono aktualne problemy placowe środowiska pracowników bibliotek, oraz przyjęto plan pracy na rok bieżący. Przewodniczącą sekcji została wybrana Anna Romańska z Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego.

3 MARCA

CYTELNICZY WTOREK

Przed spotkaniem plenum ZG ZNP z Narodową Radą Kultury, na telefonie Czytelników poświęcone naszym kontaktom ze sztuką: kłopotom ze zdobyciem niezbędnych książek, z obejrzeniem spektaklu teatralnego czy ciekawej wystawy, innym problemom związanym z kulturotwórczą rolą nauczycieli

czeka kierownik działu kultury i wychowania

HENRYKA WITALEWSKA

PREZYDIUM ZG ZNP

POD ZNAKIEM REGULAMINÓW

Kolejne posiedzenie prezydium ZG ZNP poświęcone było trzem sprawom: • udziałowi ZG ZNP w pracach Krajowej Rady Postępu Pedagogicznego oraz działalności na rzecz szkół twórczych i przodujących • projektowi wytycznych w sprawie regulaminów wyborów społecznych inspektorów pracy • przyjęciu projektu statutu Ośrodka Usług Pedagogicznych i Socjalnych.

Zanim jednak przystąpiono do realizacji zaplanowanego porządku obrad, prezes Kazimierz Piłat pokrótce poinformował zebranych o działaniach kierownictwa ZG ZNP podjętych w celu niedopuszczenia do zmiany przepisów Karty Nauczyciela. Pisał o tej sprawie na łamach „Głosu”.

W rozmowach z kierownictwem rządu prezes Piłat zaprezentował związkowy punkt widzenia oraz proponowane przez ZNP rozwiązania. Spotkał się — jak mówił — ze zrozumieniem.

Członkowie prezydium wyrazili zadowolenie i podziękowali szczerze kierownictwu Związku za szybkie i skuteczne działanie.

Pierwszym punktem zaplanowanego porządku obrad prezydium, była sprawa postępu pedagogicznego oraz działalności na rzecz szkół twórczych i przodujących. Informację na ten temat przedstawił wiceprezes ZG ZNP dr Jan Zaciura i wiceprzewodniczący Krajowej Rady Postępu Pedagogicznego, doc. Marian Balcerek, na co dzień ściśle ze sobą współpracujący. Doc. Balcerek szczegółowo omówił dotychczasowe poczynania Krajowej Rady Postępu Pedagogicznego: sukcesy i problemy, z jakimi się ona boryka oraz plany na przyszłość.

Krajowa Rada Postępu Pedagogicznego działa dwa i pół roku. Jest to już czas, który pozwala na pewne oceny. Udało się w znacznej mierze wcielić w życie zaprojektowany model działania mający na celu inspirowanie działalności nowatorskiej, propagowanie dorobku nauk pedagogicznych, upowszechnianie wyróżniającej się działalności nauczycielskiej, pomoc dla tych, którzy w sposób twórczy podchodzą do swej pracy.

W 1984 r. ruch ten był jakby uśpiony. Tylko w niewielkiej liczbie województw działały rady. Przez te dwa lata udało się rozbudzić w wielu środowiskach, szkołach chęć do działania.

Jest to przede wszystkim ruch oddolny, nie sterowany przez żadne centrum. Krajowa rada jedynie podpowiada i koordynuje organizację imprez na szczeblu centralnym. — Opowiadamy się przeciwko odgórnemu programowaniu — mówił doc. Balcerek — stawiamy na poszukiwanie oddolnych inicjatyw, upowszechnianie tego, co naprawdę godne uwagi, na ludzi autentycznie zainteresowanych problemem nowatorstwa.

Jak do tej pory nie udało się na tyle zaktywizować środowiska nauki, by jej za-

cni przedstawiciele zechcieli podejmować eksperymenty w oświacie, otoczyli szkoły opieką, stworzyli pomosty teorii a praktyką. Wielkie sesje, konferencje, seminaria były potrzebne w pierwszym etapie istnienia, teraz czas, by niżej zejść do konkretnego nauczyciela w jego zakładzie pracy.

Kto to może uczynić lepiej od nauczycieli metodyków? Oni sami są najlepiej zorientowani, co ciekawego dzieje się na ich terenie, pomagają, czuwają nad małymi eksperymentami badawczymi. Część z nich nie jest przygotowana do tych zadań. Toteż zorganizowane zostaną specjalne studia mające nauczyć ich, jak należałoby pomagać w rozwoju ruchu postępu pedagogicznego.

Krajowa Rada zamierza również powołać Bibliotekę Postępu Pedagogicznego i prezentować w niej wszystko to, co zaistnieje nowego w teorii pedagogicznej w kraju i w świecie, co warto byłoby sprawdzić, ewentualnie wprowadzić u siebie, propagować indywidualne osiągnięcia nauczycieli, wydawać cenniejsze odczyty pedagogiczne. Należy — sygnalizował dr J. Zaciura — z odczytami pedagogicznymi nie jest najlepiej, ani z ich ilością, ani poziomem.

Istotną rolę do spełnienia mają tu istniejące już czasopisma pedagogiczne. Co prawda doc. Balcerek postulował założenie nowego pisma poświęconego tylko tym sprawom, ale i w obecnie istniejących nie brak dla nich miejsca. Poszczególne wojewódzkie rady wydają również swoje biuletyny np. Zielona Góra, Poznań czy Lublin — ośrodki o najdłuższych tradycjach nowatorstwa pedagogicznego — mają się czym pochwalić.

Na pytanie, co dalej, doc. M. Balcerek zaproponował utrwalenie obecnego dorobku z jednoczesnym programowym rozszerzeniem działalności poprzez znaczne włączenie pracowników naukowych, taką zmianę składu Krajowej Rady Postępu Pedagogicznego, by weszli do niej hobbysty reprezentujący jednocześnie określone instytucje, stworzenie podstaw materialnych ruchu — np. funduszu wdrożeń, stypendiów dla wybitnych — podjęcie takich działań uświadamiających administrację szkolną, kuratoryjną i dyrektorów szkół, by chcieli pomóc — wreszcie jednym z ostatnich wniosków było wydłużenie kadencji KRPP do czterech — pięciu lat.

Ustosunkowując się do wypowiedzi doc. M. Balcereka, dyrektor Franciszek Filipowicz z departamentu badań oświatowych MOiW powiedział, że jak dotychczas nigdy nie brakowało środków na badania oświatowe, z tym, że w ciągu ostatnich pięciu lat resort oświaty nie otrzymał ani jednego wniosku na przeprowadzenie badań czy eksperymentu. Należałoby dopracować się koncepcji merytorycznej Funduszu Postępu Pedagogicznego, by przeznaczane środ-

ki szły na działania przynoszące konkretne efekty, korzyści.

Z kolei wiceprezes ZG ZNP Jan Zaciura pokrótce przypomniał historię Klubu Szkół Twórczych. Od dwóch lat ZNP wspomaga trzynastą liceów ogólnokształcących z Warszawy, Wrocławia, Puław, Poznania, Krakowa, Torunia, Olsztyna, Sano-ka, Szczecina, Rybnika i Bolesławca. Nie są to szkoły elitarne, każda z nich ma wyraźnie określone oblicze, jeśli chodzi o koncepcję pracy z uczniem. Pracują w nich wyjątkowo aktywne zespoły nauczycielskie.

Koncepcję programową Klubu Szkół Twórczych wypracował Związek. W międzyczasie w PRON pojawiła się inicjatywa Klubu Szkół Przodujących. Teraz pracują one wspólnie, pod merytorycznym kierownictwem dr Danuty Nakonecznej.

Prezydium przyjęło przedstawione informacje i przychylnie odniosło się do wniosków Krajowej Rady Postępu Pedagogicznego.

Kolejny punkt porządku dziennego — wytyczne ZG ZNP w sprawie regulaminów wyborów społecznych inspektorów pracy — po dłuższej dyskusji i wyjaśnieniu spraw budzących nieporozumienie również został przyjęty. Celem tego dokumentu jest rozszerzenie społecznej kontroli warunków pracy wszędzie tam, gdzie dzisiaj względy formalne uniemożliwiają powołanie SIP, a byłoby to ze wszelkich miar potrzebne. Istotą zmiany jest danie zarządom oddziałów ZNP możliwości wyboru zakładowego społecznego inspektora pracy w miastach, gdzie istnieje wiele szkół podporządkowanych bezpośrednio kuratorium czy też innym resortom, i gdzie jeden inspektor nie jest w stanie podjąć nadmiaru obowiązków.

Prezydium przyjęło, po poprawkach, statut Ośrodka Usług Pedagogicznych i Socjalnych.

Wyrażono również zgodę na próbę podjęcia przez Krajową Radę Nauki ZNP działalności gospodarczej, mającej podperować nadwątione fundusze. Przewodniczący KRN, Wit Majewski, zwracając się o akceptację wyjaśnił, że chodzi o zdobycie środków na działalność statutową poprzez odpłatne wykonywanie ekspertyz naukowych, projektów itp. Cel i metoda zarobienia na siebie chwalebna, pewne wątpliwości członków prezydium wzbudziła jedynie obawa, czy pomysłodawców nie zjedzą podatki, czy ta działalność się w ogóle opłaci. Ale postanowiono spróbować.

Wśród spraw bieżących poruszanych na prezydium warto zasygnalizować dwie. Przewodniczący Głównej Komisji Rewizyjnej ZNP, kol. Ryszard Czajkowski, przedstawił kilka niepokojących wniosków wynikających z pierwszych kontroli oddziałów. Nie ma praktycznie nigdzie wypracowanych form rozliczania z wykonanej pracy ludzi urlopowanych do działalności związkowej. Wiele błędów, czy tylko uchybień, spotyka się w pracy księgowych. Zapelował o pilne załatwienie obu tych spraw, by nikt niczego nie mógł Związkowi zarzucić. Zasady urlopowania wymagają generalnego uporządkowania, by nie było nadużyć i nieporozumień. Sprawa ta będzie zapewne dokładniej omawiana już w marcu.

Związkowcy z Częstochowy, Katowic i Bielska-Białej zwrócili się do ZG ZNP z wnioskiem o nadanie Domowi Nauczyciela w Ustroniu Jaszowcu imienia Włodzimierza Łętka, niedawno zmarłego wieloletniego, niezwykle aktywnego działacza związkowego, inicjatora, budowniczego i w pewnym okresie gospodarza tego domu. Prezydium przychylnie ustosunkowało się także i do tego wniosku.

(HAD)

ŚWIAT Z BLISKA

POLSKA LEKCJA

Decyzji o zniesieniu amerykańskich restrykcji gospodarczych wobec naszego kraju oczekiwano już od co najmniej kilku miesięcy. Nic więc dziwnego, że oficjalne ogłoszenie o tym, nikogo nie zaskoczyło. Po prostu stało się to, co stać się musiało, a o czym, mówiąc obrazowo, chwiliakowo europejskie, jak i zachodnie wroble. Chwila ta przybliżyła się tym szybciej, im coraz powszechniejsza stawała się świadomość, że w Polsce postępuje normalizacja życia gospodarczego i społecznego, im wyraźniej w związku z tym kurczy się krag zaslepionych zwolenników izolowania naszego kraju na arenie międzynarodowej. W ostatnich miesiącach postępowało to w przyspieszonym już tempie. Warto o tym pamiętać czytając komentarze o zwycięstwie realizmu, przegranej polityki siły itp.

Przy tej okazji nasuwają się jednak także i gorzkie refleksje. Rozczarowanie budzi fakt, iż stronie amerykańskiej trzeba było aż pięć lat by dojść do wniosku, że Polska instrumentalnie traktowała się nie da. Mimo że wielokrotnie, dawaliśmy temu konkretny, wsparty działaniami politycznymi i gospodarczymi wyraz. Druga gorzka refleksja związana jest z ceną, jaką za udzielenie tej polskiej lekcji przyszło nam zapłacić. Nie my, Polacy, postanowiliśmy co prawda przeprowadzić ją na oczach świata, ale przede wszystkim my — nieustannie po-

nosimy jej koszty. Chodzi tu zarówno o kilkanaście miliardów dolarów strat, poniesionych przez naszą gospodarkę, ale także i o utratę miejsca na rynkach, koszty, które trzeba będzie ponieść, by na nie powrócić. Wspomnieć także wypadałoby o zachwianiu zaufania, na którym to w dużej mierze opierają się wszelkie stosunki między narodami.

Nie oznacza to, naturalnie, że nie mamy żadnych powodów do satysfakcji. Płynnie ona choćby ze świadomości tego, że zniesienie restrykcji to efekt głównie konsekwencji działań nauczycieli z nad Wisły. Zrozumiała nasza lekcja, jako pierwsza, Europa Zachodnia. Pod naciskiem także jej opinii, realia zaczęły być dostrzegane również za oceanem.

Naturalnie najważniejsze dziś pytanie to: co dalej? Zniesienie restrykcji tworzy nową sytuację w stosunkach Polski z USA i innymi wysokoprzemysłowymi państwami świata. Otwierają się możliwości powrotu na poprzednie miejsce w systemie międzynarodowej wymiany. Nie żyjemy jednak zbytnich w tym względzie iluzji. By powrót ów był faktem, nie wystarczy deklaracje. Z tego, że Stany Zjednoczone przywróciły Polsce klauzulę najwyższego uprzywilejowania, uchylili zakaz udzielania kredytów rządowych i rządowych gwarancji kredytowych wcale nie wynika jeszcze, że już od

jutra powrócimy na opuszczony, nie z naszej winy, amerykański (i nie tylko) rynek. Niewątpliwie jest natomiast, że czeka nas mozolne wdrapywanie się pod górę. Co prawda dziś ułatwione, ale z pewnością nie szybkie. Wysoce wątpliwe jest również, by nagle otworzyły się przed nami szlaki banków amerykańskich. Zresztą także i my nie jesteśmy zainteresowani powtarzaniem starych błędów uzależniania się od kredytodawcy.

W sumie można by zatem powiedzieć, że ostatnie decyzje rządu Stanów Zjednoczonych w zasadzie stanowią jedynie wstęp do przyszłych, poważniejszych dyskusji międzyrządowych. Czas pokaże, czy mamy do czynienia z li tylko werbalną zmianą polityki wobec naszego kraju i narodu czy też u podłoża ostatnich amerykańskich decyzji tkwi rzeczywista chęć głębokiego przewartościowania zasad wzajemnych stosunków. Pewne jest, że po prostu wypada poczekać, co jeszcze do powiedzenia ma strona amerykańska.

Póki co odbudowujemy powoli mosty. Za ocean udają się polscy parlamentarzyści, przedstawiciele świata nauki i kultury. W pewnym stopniu dobrze rokuje to na przyszłość. Tak się bowiem już od wieków w stosunkach międzynarodowych składa, że pierwszymi ambasadorami przyszłych porozumień zawsze byli ludzie nauki i sztuki. A dziś właśnie nieco głębsze przetarcie szlaków leży w interesie zarówno nas, jak i USA. Polska lekcja nie zlamana co prawda prestiżu Stanów Zjednoczonych w świecie, ale niewątpliwie nadawała zaufanie do tego mocarstwa, wiarę w jego umiejętności dostrzegania rzeczywistych problemów państw i narodów. Pech tylko, że prawda ta ujawnić się musiała na naszym przykładzie.

WOJCIECH SIERAKOWSKI



O ŚWIAT BEZ BRONI JĄDROWEJ, O PRZETRWANIE LUDZKOŚCI

CO WYNIKA Z ROZMÓW

Sonda socjologiczna, przeprowadzona w Moskwie tuż przed rozpoczęciem międzynarodowego spotkania ujawniła, że tylko 1 proc. ankieterowanych nie uważa, iż sprawa zapobieżenia wojnie nuklearnej, przetrwania ludzkości — powinna stać ponad innymi; 96 proc. nie miało co do tego najmniejszych wątpliwości. Sześć spośród pytań zadanych moskwiom stanowiło powtórzenie tych, na które przed dwoma laty odpowiadali Amerykanie w badaniu przeprowadzonym przez fundację, na czele której stoi Daniel Jankelowicz; w USA 70% badanych uważało, że tylko likwidacja broni nuklearnych może zapobiec wojnie. Odpowiedni radziecki instytut zwrócił się zresztą do Jankelowicza z propozycją przeprowadzenia, pod jego kierunkiem, równoległych badań opinii społecznej w ZSRR i USA według jednolitego kwestionariusza. Do takiego współdziałania obecnie nie doszło (strona amerykańska, w zasadzie akceptując inicjatywę, nie była do niego gotowa pod względem organizacyjnym i finansowym) ale jest szansa, że zostanie ono zrealizowane w przyszłości.

Inicjatorzy moskiewskiego spotkania imiennie zwrócili się do 1599 osób z całego świata — bez względu na ich orientację polityczną, światopogląd, dotychczasową działalność. Nie odpowiedziało na zaproszenie ponad 400, wśród nich np. prof. J. Teller, jeden z autorów i kierownik programu „wojen gwiazdnych”. Kto wie jednak, ilu przestraszyła nie tyle perspektywa opowiedzenia się za pokojem, co wizja zrobienia tego w Moskwie? Stare resentymenty, na nasze wspólne nieszczęście, ciągle trzymają się mocno. Pojechali jednak do radzieckiej stolicy przedstawiciele nauk ścisłych, wielcy uczeni nobliści, humaniści tej miary co F. Durenmatt, G. Green, czy H. Bazin, przedstawiciele wszystkich hierarchii wielkich wyznań re-

ligijnych, znani finansisci, politolodzy i politycy, jak choćby John K. Galbraith czy Egon Bahr, generalowie w stanie spoczynku. Symptomatyczne, że wśród uczestników forum znalazły się również takie postacie, jak fizyk, prof. Andrej Sacharow czy odwróca głównej roli w serialu „Amerika” — najbardziej chyba do wchczas kwestionowanym, właśnie za sianie nieufności, obrazie filmowym.

Zarówno wyniki badań socjologicznych w ZSRR i USA, dające udokumentowany obraz superpriorytetów społecznych w obu supermocarstwach, jak reprezentatywność moskiewskiego spotkania światowych autorytetów wskazują na zjawisko zupełnie nowe w naszej współczesności: kształtowanie się w sprawie stosunku do wojny nuklearnej jednolitej, autentycznej, światowej opinii publicznej.

Zdaje sobie sprawę, że brzmi to nie najlepiej co najmniej z dwóch powodów. Z jednej strony — właśnie na tę opinię przez całe dziesięciolecie powoływał się goślistwo, i często do dziś się powołuje, każdy, komu to wygodne. Z drugiej zaś — rodzi się wątpliwość: czy nie przeceniam znaczenia moskiewskiego spotkania, które nie zakończyło się przecież, do czego przywykliśmy, ogłoszeniem apelu, deklaracji czy choćby wspólnego komunikatu. Sądzę otóż, że w tej ocenie nie ma przesady — są to sygnały wskazujące, że jesteśmy uczestnikami i zarazem świadkami procesu, który się dopiero rozpoczyna. W jego konsekwencji, oprócz doprowadzenia do spełnienia przez polityków postulatów wyeliminowania broni masowej zagłady ze światowych arsenałów a potem zlikwidowania arsenałów w ogóle — otworzą się przed ludzkością nowe perspektywy.

Wróćmy jednak do samego przebiegu tego niezwykle forum. Formuła spotkania jest z gruntu nowa. Zapraszając różne osobistości, organizatorzy z góry zapowia-

dali, że chodzi przede wszystkim o nieformalną, nieograniczoną z góry przyjętymi założeniami lub celami, wymianę poglądów; nawet zaproponowany porządek obrad miał wyłącznie orientacyjny charakter. To wstępne założenie stworzyło warunki do dyskusji prawdziwie otwartej i konstruktywnej — jak zapewniali jej uczestnicy.

Faktem jest, że mimo odstąpienia od zwyczajowego przebiegu obrad wszelkiego rodzaju, skupienia się na pracy głównej w 6 zespołach (przyrodnicy, medycy, politolodzy, twórcy kultury i przedstawiciele kręgów przemysłowych oraz ekolodzy, a także w podzespołach np. socjologów, działaczy religijnych, generałów w stanie spoczynku), konkluzja wyłaniająca się z przebiegu spotkania jest jednobrzmiąca: likwidacja broni jądrowej i innych rodzajów broni masowej zagłady, a także zwycięstwo nowego sposobu myślenia politycznego, powinny uzgodnić sytuację międzynarodową. Przeciwno nie zabrzmieli ani jeden głos.

Tu warto odwołać się do jedynego dokumentu, który uchwalono w Moskwie. „Apelu o wspólne działanie”, przyjętego przez działaczy religijnych:

„Zjednoczeni sercem i duchem my, działacze religii buddyjskiej, judejskiej, islamskiej, szintoistycznej i chrześcijańskiej (...) — zwracamy się do wiernych na całym świecie, do wszystkich ludzi dobrej woli, do przywódców narodów: W imię Boga, w imię przetrwania i godności człowieka, odrzućcie wasze uprzedzenia, odrzućcie nienawiść, odrzućcie broni i wspólnie podnieście sztandar sprawiedliwego świata dla wszystkich.

My, 215 wierzących z 56 krajów, zebraliśmy się razem bez różnicy ras, wiar i ideologii, aby przeanalizować tragiczne i groźne położenie naszej planety. Podzielamy powszechny niepokój o losy świata.(...)”

Wzywamy tych, którzy tworzą politykę oraz szefów państw, by poświęcili się kontynuowaniu dialogu. Aby położyć kres wyścigowi zbrojeń, trzeba podjąć pilne kroki już teraz.

Zwracamy się do przywódców głównych państw nuklearnych ze szczególnym apelem:

● Ogłosić raz na zawsze, że wojna atomowa jako alternatywa jest niemożliwa i niemożliwa do przyjęcia przez człowieka;

● Potępić doktryny zastraszania nuklearnego i wzajemnej nieuchronnej zagłady;

● Bezwzględnie szanować istniejące układy w sprawie broni nuklearnej, takie jak układ w sprawie obrony antyrakietowej;

● Niezwłocznie przystąpić do zawarcia nowych układów zgodnie z nadzieją na świat bez broni atomowej zrodzona w Reykjaviku.

Przybyliśmy tutaj nie po to, by związać się z polityką jakiegokolwiek konkretnego kraju, ale nałożyć doceniamy jednostronne moratorium na wybuchy nuklearne, ogłoszone jako środek zaufania najwyższego szczebla. Zasluguje ono na pozytywny oddźwięk. Wszystkie państwa atomowe powinny wprowadzić powszechne moratorium ogłoszwszy przerwanie wszelkich prób atomowych. Uważamy także, że cel uwolnienia świata od broni nuklearnej uzgodnionymi etapami do roku 2000 jest niezbędny, nieodwracalny i osiągalny”.

W cytowanym dokumencie nie pada nazwa żadnego państwa, nie określa się ani popieranym ani przywoływanym do konstruktywnych działań kierunków politycznych. Nie zmienia to jednak faktu, że wskazane są one jednoznacznie. Klucz do rozbrojenia nuklearnego trzymają w swych rękach ZSRR i USA, ale tylko to ostatnie państwo stanowczo odmawia posłuszenia się nim.

Radziecka „pieriestrojka”, przebudowa, i wynikająca z niej nowa filozofia pokoju jest bowiem głównym impulsem, stymulującym dziś światowy ruch na rzecz pokoju. Każdy, kto uznaje nadrzędność chronienia życia na Ziemi przed ludźmi, którzy posiadli środki unicestwienia go — musi to przyznać i wyciągnąć z tego wnioski. Tak jak wyciągnął je Sacharow, oklaskujący z entuzjazmem wystąpienie Gorbaczowa.

Zakończył te myśli na marginesie moskiewskich rozmów na rynku (forum — rynek, plac) warto refleksją naszego wielkiego humanisty, prof. Bogdana Suchodolskiego, który również brał w obradach udział:

„(...) Kiedy dziś mówimy o potrzebie nowego myślenia o pokoju, to przede wszystkim podkreślamy, iż sprawy wojny i pokoju przestały być już kwestią lokalną, jednego kontynentu, dwóch czy kilku państw. Jest to problem o charakterze globalnym — sprawa całej ludzkości i nie ma żadnej przesady w stwierdzeniu, że chodzi tu o całą jej przyszłość. W związku z tym jednak potrzebne jest dziś również kształtowanie myślenia globalnego, do którego — jak dotąd — nie jesteśmy jeszcze przygotowani i co przychodzi nam z dużą trudnością. Tego typu myślenie wymaga traktowania wszystkich zjawisk zachodzących na kuli ziemskiej we wzajemnym powiązaniu. Nowoczesna cywilizacja ma przecież to do siebie, że jej dalszy rozwój przekacza granice państw. Doskonale to widać np. w ruchu ekologicznym. Lasy norweskie giną z powodu kwaśnego deszczu, który „przesyła” W. Brytania i Zagłębie Ruhry. Ren zanieczyszczony w Szwajcarii staje się rzeką zatrutą w RFN i w Luksemburgu. Podobnie jest z Odrą.

Drugi element tego nowego widzenia pokoju wydaje mi się szczególnie bliski pozycjom humanistów. Mam na myśli to, że walka o pokój nie powinna być ograniczana jedynie do skądinąd ważnej sprawy — ostrzeżenia przed niebezpieczeństwem, jakie pociąga za sobą wyścig zbrojeń. To zagrożenie jest realne i ogromne, ale wyścig taki jest niebezpieczny nie tylko dlatego, że kiedyś może doprowadzić do wybuchu, ale przez to, co już czyni z ludzkością. To właśnie spirala wydatków militarnych powoduje, że nie jesteśmy w stanie przeznaczyć odpowiednich kwot, aby uchronić miliony ludzi od śmierci głodowej i wprowadzić jakiś sensowny ład w skali światowej. Można nawet powiedzieć obrazowo, że rakiety, które instaluje się w Europie są groźne nie tylko dlatego, że mogą być użyte w przyszłości, ale dlatego, że już dziś ciąży na nich grzech ludobójstwa”.

MARIA KALIŃSKA
Fot. CAF

LIST TYGODNIA

DO PANA PREZESA

Czemu tak poważny tygodnik jak „Głos Nauczycielski” pisze nam baśnie, w które wierzą może nasi najmłodsi koledzy i koleżanki, ale nie nauczyciele z kilkudziesięcioletnim stażem. Dla mnie baśnią jest wyjaśnienie zawarte w numerze 4 dotyczące dodatkowej powierzchni mieszkaniowej przysługującej nauczycielom.

Pracuję jako nauczycielka od 1971 r. Od roku 1984 otrzymuję przydziały na mieszkanie kategorii M-3, gdyż moja rodzina jest 3-osobowa. Na każdy przydział odpowiadam odwołaniem, na które niezmiennie otrzymuję odpowiedź: „... Ze względu na ograniczoną liczbę lokali kat. M-4 nie uwzględnione zostały uprawnienia do dodatkowej powierzchni, w tym wynikające również z Karty Nauczyciela”.

Interweniowałam w Zarządzie Oddziału ZNP i Zarządzie Okręgowym ZNP w Skierniewicach, a także w KG PZPR, KW PZPR — niestety bezskutecznie.

Ani związek, ani komitet — mieszkań nie ma, więc mi nie da. Ma je tylko Skierniewicka Spółdzielnia Mieszkaniowa, która tak jak wszystkie spółdzielnie w Polsce, ma

ograniczoną liczbę większych mieszkań i takiego mi w tej chwili nie da, bo uprawnienia do dodatkowej powierzchni są fakultatywne i spółdzielnie przydzielają je w miarę możliwości (publikacja CZSBM z 1979 r.).

Mamy więc Kartę, ustawy, optymistyczne odpowiedzi redakcji i nadzieję, że może za ileś tam lat skończy się kryzys i nie członkowie, ale mieszkańia będą czekały na nich i wtedy może spółdzielnie będą miały możliwości.

Może i tak będzie, tylko... Ja już będę miała dorosłe, samodzielne dziecko, może będę nauczycielką emerytowaną i wówczas nawet M-3 będzie dla mnie za duże.

Wiem, że ten mój list jest pełen gorzkości i rozczarowania, że podobno, jak mi powiędziano w Komitecie Wojewódzkim, skrajnie patrzę na życie, ale czy można inaczej, gdy wszystko zawodzi, a Karta Nauczyciela staje się bezużytecznym papierem?

ALICJA KLIMCZAK
Radziwiłłów Mazowieckie
wój. skierniewickie

OD REDAKCJI: Wynika z tego, że cytując art. 57 ustawy Karta Nauczyciela, o tym, że nauczyciele mają prawo do dodatkowej powierzchni mieszkalnej w postaci dodatkowej izby — popelniamy radosną twórczość.

Niestety, nie jest to pierwszy list sygnalizujący o tym, że spółdzielnie mieszkaniowe w swej spółdzielczej samorządności nie respektują ustawy, posługując się elegancką formułą „nie uwzględnione zostały uprawnienia do dodatkowej powierzchni...” A dlaczego? Oczywiście, wiemy, że sytuacja mieszkaniowa jest trudna w całej Polsce, i w Skierniewicach, i w Warszawie. W związku z tym należałoby oddzielić mniejszymi mieszkańiami więcej chętnych, ale... Po pierwsze ilu jest tych uprawnionych, np. w spółdzielni skierniewickiej i czy lokal typu M-4 — to jest ten standard (powierzchni mieszkalnej dla 3 osób), tak luksusowy, że aż wyzywający w obecnej, trudnej sytuacji? Po drugie: nie tylko nauczyciele doczekali się tego uprawnienia — jakkolwiek otrzymali je najpóźniej i wiem, że na ogół jest ono uznawane przez spółdzielnie w stosunku do innych. Skąd więc te awersje do nauczycieli? Być może prezesom spółdzielni nauczyciel kojarzy się tylko z tablicą i kredą, a o tym, że musi on mieć w domu warunki do tego, aby spokojnie poprawiać kartkówki i klasówki, już nie pamięta. Może także nie kojarzą prostego faktu, że nauczyciel — polonista, fizyk, matematyk — to mól książkowy i regał z książkami nie wstawi

na balkon. Dlatego przyznano mu tę powierzchnię!

Trudno się dziwić, że nasza czytelniczka jest zadowolona i „skrajnie patrzy na życie” — ale czy może inaczej? Mieszkanie — zwykle — otrzymuje się raz w życiu i uradza go na stałe. Koszty adaptacyjne i urządzenie mieszkania są tak wielkie, że nikogo (prawie) nie stać na jego zmianę. Stąd też cierpliwość Czytelniczki i czekanie na M-4.

Podobne perturbacje mieszkaniowe mają inni nauczyciele, którzy do nas piszą z różnych stron kraju, ale i wiele spółdzielni, między innymi w Warszawie, przydzielając mieszkanie, honoruje uprawnienia do dodatkowej powierzchni — a pewnie mają te same trudności.

Jak to się dzieje, że jedna spółdzielnia może, druga nie — mimo że przecież o dodatkowym metrażu jest powiadamiana na wiele lat przed planowaną budową (w praktyce). Najbardziej niepokoi fakt, że niektóre spółdzielnie (w tym i skierniewicka) dodatkową powierzchnię uważają za uprawnienie, które można dać lub nie. Zapewniamy więc, że ustawa mówi „mają prawo” i w żadnym przypadku nie można mówić o uprawnieniu fakultatywnym. A że spółdzielnie przydzielają tę powierzchnię w miarę możliwości — to już zupełnie inna sprawa i odnosi się ona do praktyki spółdzielczej, a nie do ustawy!

TERESA KONARSKA

WCIAŻ BEZ PERSPEKTYW

CD ZE STR. 1

części tych ostatnich chyba nie wszyscy w pełni zdają sobie sprawę. Warto te pasywa ogólnie określić, pozostawiając ich bardziej szczegółową analizę do odrębnego omówienia.

— Zrozumiałem propozycję Pana w ten sposób, że do szczegółowej prezentacji poszczególnych kwestii powrócimy w następnych rozmowach.

— Tak, jeśli redakcja będzie tym zainteresowana. Wśród edukacyjnych pasywów na pierwszym miejscu należałoby — moim zdaniem — wymienić stan i rozległe niedostatki szeroko pojętej infrastruktury, głównie szkolnej. Po drugie byłyby to potrzeby kadrowe przede wszystkim szkół, lecz także wielu edukacyjnych instytucji pozaszkolnych. Trzeci zespół stanowią liczne problemy społeczno-edukacyjne, w tym wyrównywanie szans w oświatowym starcie, dobór treści kształcenia ogólnego i zawodowego oraz jego form. Trzeba by także przywrócić się uważnie strukturze i funkcji wyższych uczelni.

I jeszcze jedno. W rozwiązywaniu tych kwestii obok pedagogów muszą wziąć udział ekonomiści, demografowie, lekarze, architekci oraz wielu innych specjalistów. Wewnętrz i siłami tylko samego systemu edukacji nie uda się rozstrzygnąć żadnej z wymienionych grup problemów. Oświata musi być ujmowana jako subsystem szerokiego systemu społecznego, ponieważ zmiany w niej dokonywane wpływają również na pozostałe dziedziny naszego życia i odwrotnie.

— Zakres treści pojęcia „Infrastruktura szkolna” jest bardzo szeroki. Co Pan ma w tym przypadku na myśli?

— Mam na myśli przede wszystkim te niedostatki, których przejawem jest teraz brak około 5 tysięcy nowych obiektów edukacyjnych. Jednocześnie należałoby poddać remontowi około połowy istniejących. Trzeba też w sposób zasadniczy polepszyć wyposażenie szkół w sprzęt i pomoce naukowe. Mówiąc o szkołach mam przy tym na myśli zarówno przedszkola, jak też wyższe uczelnie.

Wchodzące tu w grę koszty przekraczają obecnie możliwości budżetowe państwa. Zaspokojenia potrzeb nie można ponadto rozkładać na zbyt wiele lat. Dlatego bez pomocy społeczeństwa tych problemów rozwiązać się nie da.

— Mówił Pan też o braku nauczycieli...

— Tak. Ilustracją rozmiarów tego z kolei zjawiska jest między innymi liczba około 90 tysięcy rzęsa nauczycieli bez kwalifikacji pedagogicznych, po maturze ogólnokształcącej. Tę resztę trzeba było z konieczności zatrudnić głównie w szkołach wiejskich i małomiasteczkowych. Moim zdaniem wpłynęło to na dalsze osłabienie tego i tak nie najmocniejszego ognia naszego systemu oświaty. Mamy tu więc do czynienia z bardzo ważnym problemem zwłaszcza jeśli się nań spojrzysz, mając w pamięci nie tak przecież dawne postulaty i ustalenia, zgodnie z którymi miano zatrudniać nauczycieli tylko po ukończeniu wyższych studiów. Tymczasem dziś znów kształcimy nauczycieli niemal w skali masowej w studiach pomaturalnych.

Inna sprawa czy jest to potrzebne w takim zakresie, jaki ma miejsce dziś. Czy na przykład nie dysponujemy już na rynku pracy wystarczającą liczbą nauczycieli pracujących w innych zawodach, którzy porzucili szkolnictwo ze względów mate-



Czesław Kupisiewicz

rialnych. Może należałoby sporządzić bilans w tej dziedzinie i zastanowić się, co byłoby korzystniejsze: dalsze i zarazem masowe kształcenie nauczycieli w przyspieszonym tempie w SN, czy też pozyskanie fachowców już wykwalifikowanych, pozostających poza szkolnictwem.

— Oczywiście za odpowiedni ekwiwalent.

— Nie wyobrażam sobie, by bez polepszenia warunków pracy i płacy można było rozwiązać ten nabrzmiały problem. Nie oddzielałbym przy tym tych dwóch elementów od stawianych nauczycielom wymagań. Myślę, że nauczycieli solidnych, a takich mamy przecież wielu, w przypadku zapewnienia im godziwych warunków pracy i zarobków, nie trzeba by było — jeśli można to tak określić — zachęcać do efektywności pracy. A pod tym względem niemało jest jeszcze obecnie do zrobienia. Tak na przykład najnowsze badania ujawniają, że rzeczywisty czas lekcji nie jest w wielu przypadkach racjonalnie wykorzystywany. Ale tę uwagę proszę traktować niejako na marginesie głównych wątków naszej rozmowy.

— Wspomniał też Pan Profesor o zespole zagadnień społeczno-edukacyjnych. Niektóre z nich od lat przysparzają dużych kłopotów tak politykom, jak też bezpośrednio zainteresowanym instytucjom państwowym.

— Jest ich wiele, a niektóre wymagają szybkiego rozwiązania. Moim zdaniem na czoło wysuwa się problem wyrównywania szans edukacyjnych dzieci i młodzieży z różnych klas i warstw społecznych. W szczególności zwróciłem tu uwagę na start szkolny oraz przynajmniej dwa progi selekcyjne, z jakimi mamy dziś do czynienia w naszym systemie szkolnym. Mam tu na myśli bariery między szkołą podstawową a średnią oraz między tą ostatnią a wyższą.

— Progi te istnieją od wielu lat, a ostatnio jeszcze bardziej się podwyższyły.

— Owszem, badania to potwierdzają. Jeśli przez długie lata poszukiwano sposobów zapewnienia młodzieży robotniczej i chłopskiej szerszego dostępu do studiów wyższych, przy czym za główny mechanizm otwarcia tego dostępu uważano punkty preferencyjne, to dziś okazuje się, że na ogół nie więcej jak 30 do 40 proc. młodzieży z tych dwu środowisk, kończącej szkołę średnią, aspiruje do wyższych studiów. Taki też jest w przybliżeniu odsetek studentów z tych środowisk na studiach stacjonarnych. Skoro więc punkty nie dały spodziewanych rezultatów, to należałoby się zastanowić nad innymi sposobami szerszego udostępnienia studiów wyższych młodzieży robotniczego i chłopskiego pochodzenia.

Dysponujemy dowodami, że losy szkolne dzieci kształtują się dość wyraźnie już w trakcie nauczania początkowego. Wtedy bowiem dziecko zaczyna wyraźnie uświadamiać sobie swoją wartość jako ucznia i zarazem kształtuje swój stosunek do nauki różnych przedmiotów oraz do szkoły. Myślę — zatem, że już w klasach I—III trzeba pracować z myślą o dalszych drogach szkolnych dzieci.

— Rozumiem teraz dlaczego położył Pan taki nacisk na potrzeby kadrowe. Przecież wśród nauczycieli bez pełnych kwalifikacji pedagogicznych niemała grupa uczy na wsi w klasach najmłodszych.

— Mówiliśmy już o kwalifikacjach, jak też o warunkach pracy i zarobkach. Jeśli nie ma innego wyjścia, jeśli wyższe uczelnie nie mogą wykształcić potrzebnej liczby nauczycieli, jeśli zatem z konieczności musimy kształcić w studiach pomaturalnych, to wówczas trzeba by przynajmniej sprawić, aby te studia stanowiły w pełni drogę naszego systemu kształcenia i doskonalenia kadr dla szkolnictwa. Aby były, dajmy na to, pierwszym szczeblem kształcenia akademickiego nauczycieli, co otwierałoby ich absolwentom perspektywę ukończenia pełnych studiów wyższych.

— Mam wątpliwości czy wszystkie SN będą w stanie zapewnić odpowiednią kadrę wykładową. Zwłaszcza że z mniejszych miejscowości. W początkach lutego „Rzeczpospolita” opublikowała wyniki telefonicznych rozmów z czytelnikami pani minister oświaty i wychowania. Jeden z rozmówców zwrócił uwagę na żenujący poziom wykładów z psychologii i pedagogiki w SN, który ukończyła jego żona. Nie jest to podstawa do uogólnień, co nie oznacza, że nie ma nic do zrobienia na tym polu.

— Nadal sądzę, że trzeba rozważyć potrzebę ściślejszego związania SN z wyższymi uczelniami, które mogłyby zapewnić tym SN-om na przykład odpowiednią kadrę.

Mówiąc ogólnie, nie dorobiliśmy się — niestety — funkcjonalnego systemu kształcenia i doskonalenia kadr dla szkolnictwa. W przeszłości, w wyniku funkcjonowania jakby schodkowego systemu kształcenia nauczycieli (liceum pedagogiczne, SN, WSN, WSP, uniwersyte) tysiączne ich rzesze były przez długie lata studentami. Z badań ankietowych prowadzonych wśród czynnych nauczycieli — studentów Wydziału Pedagogicznego UW wynikało, że był to system mało efektywny. Zmuszał bowiem do wieloletniego łączenia pracy zawodowej z wyczerpującymi studiami, co odbijało się niekorzystnie i na zajęciach szkolnych, i na poziomie studiów, nie mówiąc o zdrowiu.

— Mówiąc innymi słowami, aby pokonać podwyższony próg selekcyjny między szkołą podstawową a średnią, trzeba uprzednio zlikwidować przeszkody, jakie występują w systemie kształcenia nauczycieli.

— Oczywiście. Nawet najbardziej prze-myślane reformy nie zapewnią spodziewanych efektów, jeśli nauczyciele nie uznają tych reform za własne, i — dodajmy — jeśli nie będą to nauczyciele o wysokich kwalifikacjach.

— A kwestia wspomnianych przez Pana progów selekcyjnych?

— Chodzi o dostęp do studiów wyższych. Mamy tu do czynienia z wyraźnie zaznaczonym dualizmem dróg szkolnych absolwentów ośmiolatk. Prawie 60 proc. kieruje się obecnie do zasadniczych szkół zawodowych, resztę — do średnich. Te proporcje utrzymują się od wielu lat. Co prawda ZSZ są placówkami droższymi, co zasługuje na podkreślenie, ale z możliwości dalszej nauki korzystają tylko nieliczni absolwenci tych szkół.

Proszę ponadto zwrócić uwagę, że odsetek studentów I roku pochodzenia robotniczego i chłopskiego odpowiada u nas na ogół składowi socjalnemu uczniów liceów ogólnokształcących. Stąd wniosek, że o strukturze społecznej studentów rozstrzygają procesy selekcyjne dokonujące się między szkołą podstawową a średnią. Nie zapominajmy też o feminizacji liceów, gdzie dziewczęta stanowią dziś ponad 70 proc. ogółu uczniów. Nie pozostaje to bez wpływu na obraz studenckiej społeczności, gdyż około 80 proc. tej społeczności rekrutuje się właśnie spośród absolwentów liceum ogólnokształcącego.

Do listy problemów wymagających rozstrzygnięcia dodałbym też kwestię treści wykształcenia ogólnego. Przykuwają one uwagę zarówno w związku z zakończoną reformą programów w szkołach podstawowych oraz podjętą ostatnio korektą tych programów, zwaną „odchudzeniem”. Trzeba równocześnie zdawać sobie sprawę, że częste zmiany programów pociągają za sobą zmiany w podręcznikach. Prowadzi to do ogromnego marnotrawstwa. W rezultacie nie możemy uporać się z dostarczaniem uczniom odpowiednich podręczników w stosownym po temu czasie.

Zywotny jest oprócz tego problem treści i form kształcenia zawodowego. Nadal aktualne jest pytanie: czy kształcić wąskich specjalistów czy też fachowców o szerokim profilu? Dziś mówi się, że zadaniem szkoły zawodowej jest szerokie profilowanie absolwentów, natomiast zakład produkcyjny w toku praktyki powinien kształtować wąskie specjalizacje. Nie sądzi się też, aby szkoła, która nie współpracuje ściśle z nowoczesnym zakładem pracy, mogła skutecznie kształcić.

Odnötujmy wreszcie na koniec kwestię struktury i funkcji wyższej uczelni. Placówki akademickie przygotowują najwyższej klasy specjalistów, ale muszą być również otwarte na inne potrzeby. Rosną np. oczekiwania, iż uczelnie zaspokoją zapotrzebowanie na specjalistów w dziedzinie nauki. Ludzie żyją przecież obecnie przeciętnie dłużej niż choćby pół wieku temu. Tysiące pracowników odchodzi w stan spoczynku wcześniej niż kiedyś. Ta grupa dysponuje dużymi zasobami siły i wolnym czasem. Wielu ludzi tak zwanego trzeciego wieku ma godne pochwały aspiracje edukacyjne, chce się uczyć. Dlatego mieliśmy nie odpowiedzieć na te oczekiwania?

Rozmawiał: JERZY KRAŚNIEWSKI
Fot. M. Suchecki

OBRAZKI Z WYSTAWY

Wyglądało to rzeczywiście po europejsku: tu światełko, ówdzie miga, tam podświetla. Kolorowa grafika komputerowa ilustruje wzrost plac, słupki liczb podpowiadają strategię handlu. W kącie sali rozbrzmiewa pokiwanie gry telewizyjnej. Nie dziwota zatem, że w godzinach przeznaczonych dla publiczności tłum walił gesty. Jeśli zainteresowanie elektroniką tym właśnie mierzyć, to przynajmniej wypada, że w Polsce jest ono przeogromne. Tylko czy akurat tego dowieść miała ta okrzykana stołeczna wystawa?

Reklamowano ją jako prezentację najnowocześniejszej techniki w dziedzinie mikrokomputerów osobistych, domowych i biurowych. Jak zapewniała codzienna prasa, swój sprzęt wystawiały najznakomitsze firmy. Może i tak było ale... znakomitości te osobiście liczyłem na palcach jednej tylko ręki. Mam zatem wrażenie, że „ochy i achy” rozdzielano mocno na wyrost. No cóż, megalomania to ludzkie uczucie. Nie powiem także czy prezentowane urządze-

nia i oprogramowanie faktycznie były naj... Po prostu w ścisłości i łoku trudno było dopchać się do stoiska by choćby chwile o tym pogawędzić. Podobne rozterki mieli także co poniektórzy reprezentanci naszych uspołecznionych przedsiębiorstw skłonnych do dokoania zakupu. Parę razy miałem okazję wysłuchać rozterek w rodzaju: „diabli wiedzą czy to będzie pasowało do naszej maszyny”.

W tym międzynarodowym towarzystwie najbardziej naturalnie interesowała mnie oferta rodzimego przemysłu. Bądź co bądź ilustrowałoby to stan zaawansowania komputerzyzacji kraju. Niestety po tej wystawie refleksje muszą być smutne. Prym bowiem wiodły firmy... polonijne. Co więcej oferowały głównie „składaki” pod bardzo dziwnie w dodatku, brzmiejącymi nazwami. Ceny zestawów mocno szokujące: od minimum dwóch i pół miliona do kilkunastu. Podobną ofertę przedstawiał również Dom Handlowy Nauki, szczycący się, że swoje zestawy „składa” wyłącznie z podzespołów importowanych. Bo, jak zapewnił mnie przedstawiciel DHN, tylko to zapewnia najwyższą jakość urządzenia. Reprezentacja uspołecznionych przedsiębiorstw produkcyjnych była więc niż skromna. Drukarki z Blonia (200—300 tys.

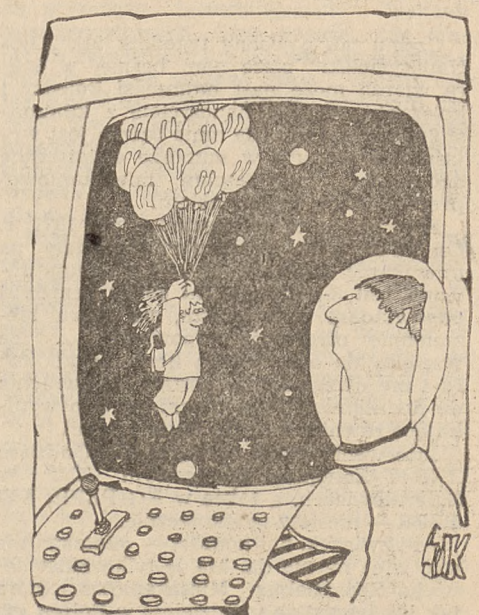
zł za sztukę), „Meritum 2”, „Compan” (z Mery Elzab) i to niestety wszystko. Drukarki ponoć bardzo dobre, „Compan” również nie najgorszy w swej klasie. Za to przeznaczony dla szkół „Meritum 2” przy innych maszynkach wyglądał jak nieprzyjemnie „Syrenka” przy „Fordzie”. Może dlatego przy tym stoisku było raczej pusto. Jedyną rodzimą rewelacją była „Mazowia”, dziecinie powstała dwa lata temu Spółka Mikrokomputery. Niestety nie dane mi było sprawdzić co potrafi. Jedynie poważnym oferentem dawano wejść za sznurek i poprzeciskać klawisze.

Najbardziej zadowolone a jednocześnie mocno zawiedzione były dzieci. Przybywały gestym tłumkiem z nadzieją, że nieco sobie pograją w gry telewizyjne. Niestety tych było jak na lekarstwo. Najwięcej nadziei było zaś w sercach tych, którzy brali udział w ankiecie Firmy Mitsubishi zbierającej opinie o jakości trzech wystawianych wyrobów. Trzy czwarte wypełniających drukarek ankiety nawet nie fatygowało się o bejrzeć tego co oceniali. Ważne było jednak to, że ich głosy brały udział w losowaniu komputera, monitora i... twardego dysku (nota bene na co komu dysk jeśli nie ma stacji dysków, nie mówiąc już o komputerze).

Jak reklamowała prasa na wystawie zgromadzone były głównie komputery osobiste i domowe, a więc jak nazwa wskazuje dostępne dla zjadaczy chleba. Widać pomiędzy nami, a obcojęzycznymi zjadaczami różnice są dziś coraz większe. Wątpię czy ktokolwiek żyjący między Bugiem a Odrą

może sobie pozwolić na zakup któregoś z mikrokompukterów osobistych. Najtańszym oferowanym przez firmę brytyjską był pocziwy Sinclair ZX Spectrum + 2. Za jedynie 130 funtów, do wzięcia od zaraz. Sumę takową posiadałem ale niestety tylko w banknotach NBP. No i z PC nici. Za to za darmo otarłem się o elektroniczny świat. Dobrze choć to.

WOJCIECH SIERAKOWSKI



CZYTELNICY MAJĄ GŁOS

DAJCIE ODSAPNAĆ!

CD. ZE STR. 1

Czy te zarzuty są ze wszech miar słuszne? Potakujemy, bo w pewnym stopniu pokrywają się one z naszymi własnymi obserwacjami, zdaje się jednak, że należy wstrzymać się ze zbyt pochopnym potępieniem. Przyczyny gorszych niż dawniej wyników nauczania języka ojczystego są bowiem złożone i nie można za to obarczać winą jedynie polonistów.

Warto choćby porównać motywy dawnych uczniów do pracy i nauki (nie tylko zresztą do nauki języka polskiego). Przez dziesiątki lat poprawna wymowa i ortografia polska znamię przynależności do wyższej warstwy społecznej, świadczyły o uprzywilejowaniu, oznaczały awans, wybiły się ponad swoje środowisko. Będzie były co się zowie potężne, nie tylko dla jednostek, lecz dla całych grup społecznych. Takiego rodzaju impulsy już prawie całkiem nie działają.

Nie wadzi też zaznaczyć, że nauczać języka polskiego jest obecnie trudniej niż za dawnych lat. Nie chodzi tu tylko o brak wymienionej wyższej motywacji ani o generalną tendencję do masowego wykształcenia zamiast obowiązującej przed wojną skłonności do elitaryzmu. Na przeszkodzie stają poloniście zatłoczone do granic wytrzymałości klasy, niedostatek tzw. pomocy audio-wizualnych, kłopoty z podręcznikami w klasach starszych, wreszcie niejasności co do lektury i programu obowiązkowego. W ogóle wymagania, piętrzące się przed nauczycielem języka polskiego, są tak niebotyczne, że należy się dziwić, iż ktoś na wysokim szczeblu nie zakwestionował ich jako nie nadających się do realizacji. Polonista bowiem odpowiada nie tylko za poziom prac pisemnych i ustnych w zakresie swego przedmiotu, ale także bywa pociągnięty do odpowiedzialności za błędy ortograficzne i stylistyczne popełnione przez uczniów we wszystkich wypracowaniach, na nim też ciąży obowiązek zaznajomienia wychowanków z rozmaitymi przejawami życia kulturalnego, on również organizuje obchody i uroczystości szkolne. Podjąć się nauczania języka ojczystego w szkole — to zaprząć się do kieratu — dowodzi nie bez racji Marczyk (w 48 numerze „Głosu” z 1986 r.).

Powiem bez ogródek: trud, spadający na barki polonisty, jest nie do udźwignięcia, nie wierzę, by ktokolwiek z moich kolegów wyznał z ręką na sercu, że mu udało. Jeśli ktoś wywiązał się jak należy z lektur obowiązkowych, musiał czynić to kosztem ortografii bądź zajęć kulturalnych; jeśli nauczył gramatyki, zgubił wiele z podstawowych pojęć z teorii lub historii literatury; jeśli zdał z wszystkiego — zrobił to tak powierzchownie, że z jego wykładów nic uczniom nie pozostało...

Gorzkie to i smutne refleksje, ale poparte doświadczeniem starego praktyka. Doświadczenie to każe sprzeciwić się stanowczo proponowanej przez kol. Edwarda Kleina („Głos Nauczycielski” nr 46 z 1986 roku) specjalnej podwyżce dla nauczyciela-polonisty. Taka podwyżka choć słusznie by się nam należała, w gruncie rzeczy narobiłaby tylko wiele zamętu, kwasów, wojny podjazdowej — a nie przyczyniłaby się wcale do uzyskiwania lepszych efektów nauczania. Z wywodów kol. Kleina można wnosić, że poloniści czują się pokrzywdzeni swoją groszową pensją — i dopiero wzięliby się do roboty i pokazali, na co ich stać, gdyby podwoić im płacę. Żłudne to i niewczesne nadzieje.

W warunkach, w jakich przyszło nam uczyć języka ojczystego, nie pomoże ani podwojenie, ani nawet potrojenie stawki. Gdyby nawet doszło do tego — co jest zaiste marzeniem ściętej głowy! — wyniki na razie zapewne poprawiłyby się trochę, by później systematycznie i nieodmiennie spadać. A działoby się tak dlatego, że — jak wyluszczyłem powyżej — program żąda od nauczyciela języka polskiego tak wiele, że wymaganiom tym sprostać nie sposób.

Zresztą, jeśli już marzyć, to nie o potrójnej stawce! Pozwólcie pomarzyć, że nareszcie tam, w górze, wśród decydentów, zrozumiano, czego potrzeba polonistom — i pozostawiono nas na 5, 6 — ba, nawet 10 lat — w spokoju!

Gdyby przestano nas gnębić rozmaitymi suplementami i zgodzono się na spis lektur obowiązkowych i nadobowiązkowych przedłożony na początku roku szkolnego? Gdyby zadowolono się dotychczasowymi podręcznikami do polskiego, zamiast wydawać co roku nowe, coraz trudniejsze i przeładowane wykładem autorskim, podczas gdy i uczeń i nauczyciel czekają na antologię dobrze wybranych tekstów? Gdyby przyjęto do wiadomości, że tak zwane konferencje i kursokonferencje przedmiotowe nie tylko nie nikomu nie dają, lecz są niepotrzebną stratą czasu? Gdyby w końcu pojęto, że na pytanie „jaki jesteś polonista?” — nasuwa się przede wszystkim odpowiedź: jestem zmęczony! Nie nadążam!

Nie nadążam za tempem zmian, za rosnącymi wobec mnie wymaganiami. Dajcie odsapnąć tchu zaczerpnąć! Może, gdy nabiorę oddechu, nie pozwolę się zakrakać czarnowidzom, może okaże się, że z tym polskim nie jest tak źle, jak głosi chór pesymistów.

Skoło wprost rozpaczliwie źle jest z ortografią i gramatyką, a z teorią i historią literatury nie o wiele lepiej, może przynajmniej lektura i jej omawianie przynosi poloniście satysfakcję? Niestety i pod

tym względem stan szkolnej polonistyki nikogo nie może zadowolić. Owszem, daleko tu wprawdzie od katastrofy z ortografią, lecz trudno wysuwać tezę, że osiągamy tu wyniki na poziomie przynajmniej dostatecznym.

Właściwie mamy do czynienia z różnymi poziomami, zależnie od wieku uczniów. W klasach młodszych, po opanowaniu techniki czytania, u większości dzieci pojawia się radosny pęd do książki, który trwa mniej więcej do okresu dojrzewania, potem słabnie, a niekiedy zupełnie zanika. Ten pęd trzeba umiejętnie wykorzystać: stanowi chyba jedyną szansę, by nasz uczeń zawarł przymierze z książką na całe życie. Oczywiście, mamy widoki powodzenia raz na dziesięć prób nieudanych, ale i to znać trzeba za sukces.

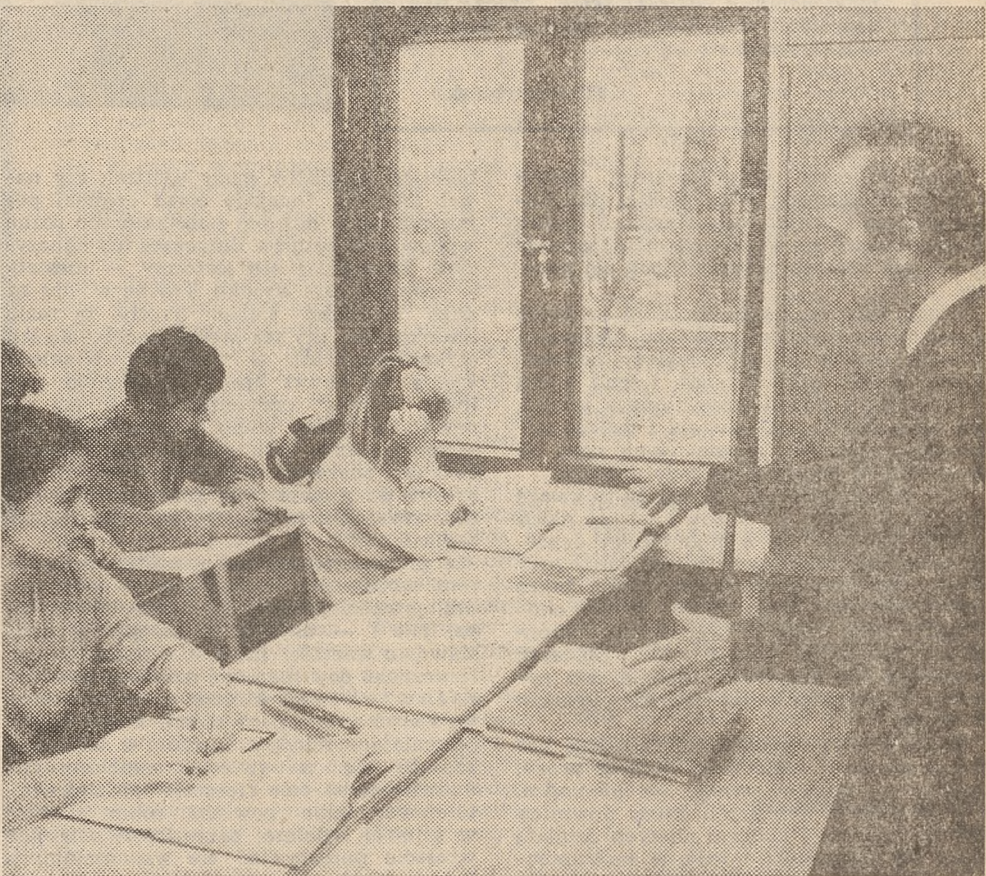
Gdyż wbrew nadziejom optymistów, czujemy coraz dotkliwiej, że nadciąga zmierzch kultury druku, kultury słowa pisanego. Zastępuje ją cywilizacja obrazkowa: kino, telewizja, video, komiks. Nie zamierzam tego dowodzić: wystarczy dobieć, skąd młodzież czerpie wiadomości o świecie, gdzie szuka wrażeń i doznań artystycznych. Czy to dobrze, czy źle — nie umiem odpowiedzieć; oceniam to przyszłe pokolenie. Dziś wydaje się, że „cywilizacja obrazkowa” zaciąży fatalnie na rozwoju wyobraźni naszych następców, że zapowiada się obłożenie przeżyć psychicznych,

technizację, a nawet osobiłą uniformizację ducha. Ale nie bawmy się we wróżby! Pocieszmy się, że jeszcze wiele wody w Wiśle upłynie, zanim staniemy się społeczeństwem robotów.

Póki zaś uczymy języka polskiego, a nie jakiegoś „basic polish” czy innej mowy komputerowej, nie wolno tracić wiary w sens olbrzymiego zadania, jakie nam poruczono. Sytuacja polonistyki szkolnej jest, zaiste, niewesoła. Odgórne wymagania reśna, a u młodzieży słabną zainteresowania literaturą, językiem zaś ojczystym — w szczególności. Nie wzbudzają też entuzjazmu nowe awangardowe kierunki w poezji i prozie. Nastawienie komercyjne nie sprzyja rozwojowi intelektualnemu. Najmłodsza generacja skłonna jest poprzestać na literaturze i sztuce popularnej, jeśli wręcz nie użytkowej. Nawet snobizm zmizerniał i poszarzał.

Ale może uświadomienie sobie ogromu zadań, którymi nas obarczono, pozwoli je dźwignąć, ba, napawać dumą. Bądź co bądź powierzono nam klucze do skarbcza pełnego najcenniejszych, narodowych i ogólnoludzkich klejnotów. Zapewne nie wszyscy z nas w równym stopniu nadają się na przewodników dusz, wszyscy jednak zasłużyli na nieco więcej podziwu, uznania i szacunku, niż to się powszechnie okazuje.

STANISŁAW GNOIŃSKI
Siennica



Fot. M. Suchecki

SPOD ORLEANU I Z OSTRÓDY

Mam w ręku list do Zarządu Głównego ZNP, wysłany z repatriacyjnego punktu w Otwocku w styczniu 1956 roku. Pismo to (a ściślej jego kopia) przedstawia powojenny stan polskiej oświaty we Francji i wspomina o roli naszego Związku oraz „Głosu Nauczycielskiego” w środowisku tamtejszej Polonii.

Autorem listu jest nieżyjący już od 21 lat mój kolega — Mieczysław Piątkowski, wydany („ekspulsowany” jak wówczas mówiono) z Francji w 1955 roku. Należał bowiem do „niepożądanych” tam polskich lewicowców.

Współpracowałem z kolegą Piątkowskim dość blisko, ale dopiero w latach sześćdziesiątych w Ostródzie. Był wtedy kierownikiem Szkoły Podstawowej nr 4, ja zaś prowadziłem Studium Nauczycielskie i korzystałem z ponad miarę starannej i życzliwej jego opieki nad praktykantami.

Od pani Marii Piątkowskiej i od córki ich obojga — Krystyny — wiem, że mój ostródzki kolega był po wojnie w Francji nauczycielem polskich dzieci, a następnie sam kierował polskimi szkołami i prowadził szeroką działalność świetlicową i sceniczną. Liczne dokumenty, dyplomy i zdjęcia świadczą o pracy Piątkowskiego w różnych merostwach, a między innymi w Rouen, w miejscowości Vesines pod Orleanem, a na końcu przed wysiedleniem w miasteczku robotniczym Dammarie les Lys, oddległym o 40 kilometrów od Paryża.

W tym osiedlu, jak mówi żona Mieczysława, pani Maria, język polski rozbrzmiewał wszędzie głośno i na co dzień.

List Mieczysława Piątkowskiego do ZNP ma dziś charakter historyczny. Ale i cały życiorys tego pedagoga jest już także jedną z kart przeszłości. Jednak, jak się wydaje, otwarty. Podobna bowiem praca innych pokoleń nauczycielskich wciąż we Francji trwa, a i trudności Polaków uczących polskie dzieci są, jak przypuszczam, podobne:

„Wiedzie dobrze, Drodzy Koledzy — zwraca się do ZNP autor listu sprzed 31 lat — że my za granicą nie mamy możliwości się dokształcać w takiej mierze, jak to mają koledzy w Kraju („Kraj” w tym liście zawsze wielką literą!). Odczuwamy brak lektury fachowej z psychologii, pedagogiki, metodyki nauczania. Poza „Głosem Nauczycielskim” żadne inne pisma poruszające te zagadnienia do nas nie docierają. A przecież jeżeli ten właśnie tygodnik i różne czasopisma krajowe mają prawo bytu we Francji, to uważam, że także pisma fachowe powinny do nas dochodzić”.

Autor stwierdza dalej, że w działalności polskich zespołów świetlicowych i towarzyszeń teatralnych niezbędne są opracowania szkół i fragmentów scenicznych, a ich dostarczaniem powinien się zająć właśnie Zarząd Główny Związku Nauczycielstwa Polskiego. „Wtedy dzieciom polskim na obczyźnie, w ogóle naszym rodakom wyda się, iż Polska Ludowa znajduje się blisko, tuż za granicą”.

List nauczyciela — repatrianta zmienia się raz po raz w gorący apel, by Związek i jego „Głos” utrzymywali bliską łączność z Polonią w ogóle, a francuską w szczególności. Ta bowiem dotknięta została w roku 1949 i później licznymi wysiedleniami nauczycieli. A mimo to przecież nadal trzeba uczyć i rozwijać tam polskie życie kulturalne. „Uważam, że drogich Wam i nam dzieci polskich i patriotycznego uchodźstwa nie zostawicie bez pomocy w trudnym dziele (...) Jest za granicą spora liczba nauczycieli, którzy należeli i należą do wielkiej rodziny związkowej (...)”

Właśnie w imieniu tych wszystkich, którzy uporczywie borykają się z przeciwnościami, chcę się Wam przypomnieć, że jesteśmy, że żyjemy, że uczymy nasze dzieci o Polsce Ludowej, że przysyłamy je na kolonie w Kraju”.

Mieczysław Piątkowski łączy obecność ZNP na obczyźnie oraz fakt, że dociera tam „Głos Nauczycielski” z dynamiką działań oświatowych i kulturalnych w środowiskach polskich, głównie robotniczych:

„Dokąd istniały we Francji nasze organizacje, było przeszło czterystu nauczycieli (...) nauka języka polskiego, historii, geografii z roku na rok wydawała coraz lepsze plony. Na zebraniach dyskutowano przemiany w Kraju, ze scen rozbrzmiewała polska piosenka i żywe słowo. Podziwiali nasi rodacy strojne polki, krakowiaki, mazury i oberki. Było zawsze widzów tyle, że sale nie mogły ich pomieścić. Przychodzili wszyscy Polacy, także i ci, co nie nawidzili «reżymowców» jak nas czasem nazywano za granicą”.

Uwydatniając rolę ZNP na obczyźnie, Mieczysław Piątkowski ubolewa nad tym, że w projekcie dyskutowanej wówczas pragmatyki nie było wzmianki o polskim nauczycielu poza granicami kraju.

Tyle o liście, który przechowywała rodzina. Sądzę, że powinienem dodać jeszcze kilka słów o samym jego autorze.

Otóż Mieczysław Piątkowski był synem wiejskiego murarza spod Lubawy. Na dziesięć lat przed wojną ukończył seminarium nauczycielskie w tym mieście i

otrzymał pracę nauczyciela szkoły powszechnej w Tczewie. Jako podchorąży rezerwy brał udział w kampanii 1939 roku. Po bitwie pod Kockiem dostał się do niewoli. Kształcił się właściwie przez całe życie, a więc także w oflagu i stalagu. Po wyzwoleniu znalazł się we Francji i tam założył rodzinę. Tam też urodziła się Krystyna — teraz od lat już polonistka Liceum Ogólnokształcącego w Ostródzie, Krystyna Orzechowska.

Po wysiedleniu z Francji osiedli Piątkowscy w Ostródzkiem. Ojciec rodziny pracował najpierw jako kierownik szkoły wiejskiej w Łęgutach koło Biesala, z kolei wspomnianej już Szkoły Podstawowej nr 4 w Ostródzie. Tę urządzał od podstaw. W nowo oddanym gmachu meblował klasy, z młodymi nauczycielami zakładał pracownię. Szukał przy tym wciąż „nowinek pedagogicznych” w czasopiśmie nauczycielskich i niektóre z nich próbował wprowadzać w swojej szkole. Nasz „Głos Nauczycielski” miał w nim czytelnika, polemistę, a nieraz i korespondenta.

Jako kierownik „Czwórki” szkole oddawał wszystko z wyjątkiem kilku godzin w tygodniu poświęconych skrzypcom i... wędkę. Przeżywał radość i niepowodzenia dużej szkoły jak swoje własne. W pracy był żarliwy i ludzki, ale dał się tej pracy pochłonąć całkowicie. Podziwiałem go i dziś o nim świadczę.

W cytowanym tu liście do Zarządu Głównego Związku umieścił i takie zdanie: „Wiadomo Wam, że poza Holandią, Belgią, najtrudniejsze warunki pracy i materialne ma nauczyciel polski we Francji...”. W kraju dorobił się Mieczysław Piątkowski mieszkaniem służbowego za kancelarią, kilkunastu (i więcej) godzin pracy na dobę i pięknego imienia wśród ludzi. Z pozoru brzmi to ironicznie. W istocie znaczy wiele.

JERZY KORKOZOWICZ

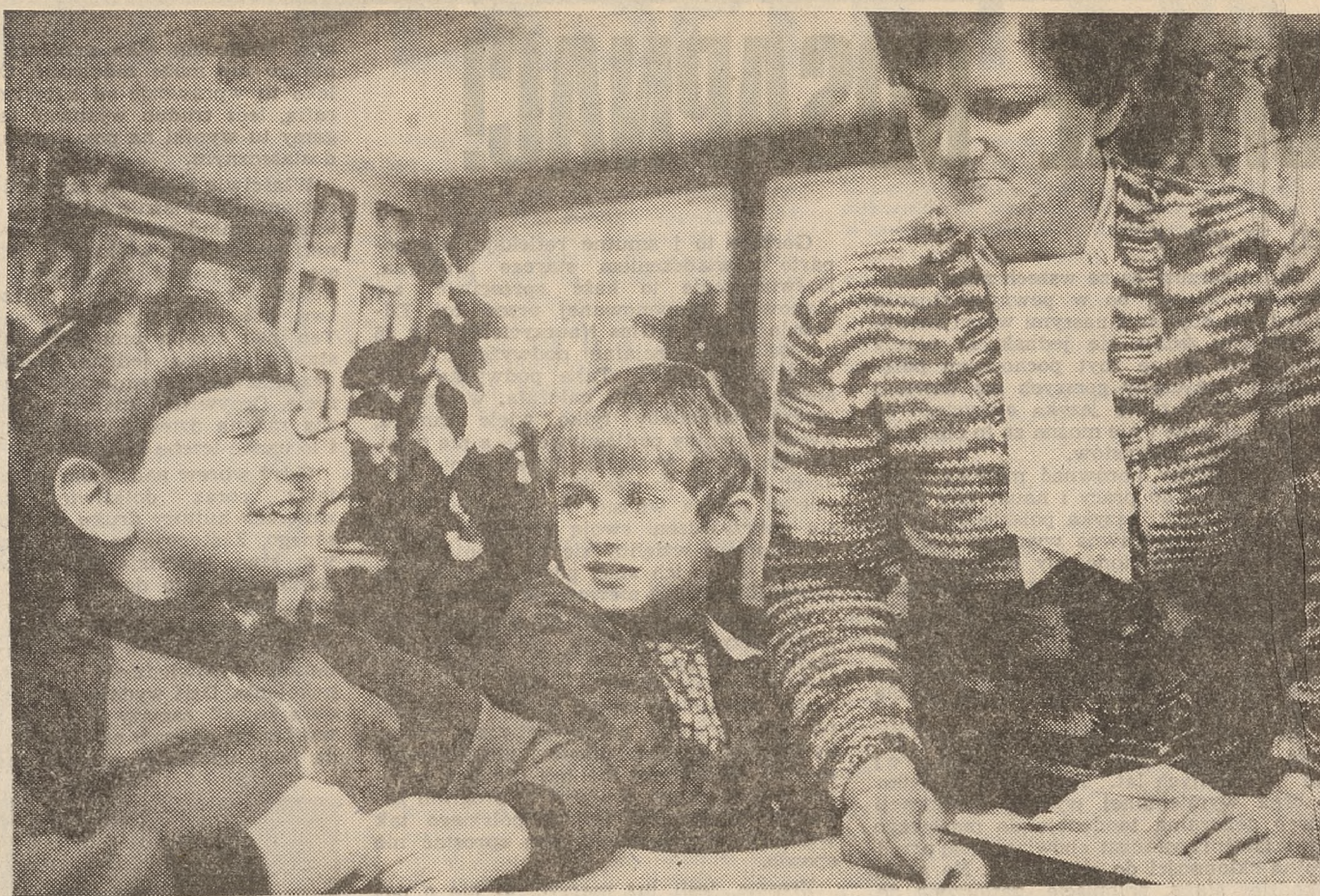
GŁOS NAUCZYCIELSKI 5

ROBIĆ OCHOCZO
I ZNALEŹĆ UPODOBANIE...

ZA DUŻO W NAS PEWNOŚCI SIEBIE

By „człowiek robił ochoczo to, co robić musi; by w robieniu tego, co musi, znalazł upodobanie i dzięki temu pracę swą usprawnił wielokrotnie, okazując hojność w oddawaniu się jej”.

(T. Kotarbiński)



Fot. M. Suchecki

Myśl Tadeusza Kotarbińskiego, wzięta z artykułu Henryki Witalewskiej pt. „Robić ochoczo i znaleźć upodobanie...” („Głos Nauczycielski” nr 4/1987) określa doskonale cel, dla którego zdecydowałem się napisać.

Praca. Pojęcie, dzięki któremu człowiek wyzwolił się z nieporadności ku nieograniczonym możliwościom ludzkiego rozumu. Praca to nie tylko wysiłek i trud wielu — mozołem i potem wypełnionych godzin, ale także radość i satysfakcja z dobrze wykonanego zadania z osiągnięcia celu, ze szczęśliwego finału wspólnego wysiłku...

Czy jednak zawsze? Zwraca na to uwagę red. Witalewska, a i każdy z nas co dzień niemal spotyka się z nagminnym deprecjonowaniem słowa, a co gorsza, także znaczenia ukrytego za pojęciem: praca. Jakże często bowiem wykonujemy swoje obowiązki tylko dłońmi — dłońmi, które przede wszystkim pragną liczyć i pobierać pieniądze. Co najgorsze, jakże często podobny stosunek do pracy objawia się także w szkole.

Wielu z nas — nauczycieli, traktuje bowiem szkołę li tylko jako miejsce pracy, miejsce, w którym zarabia się pieniądze. I w związku z tym uczeń, który powinien być początkiem i końcem naszych działań, staje się mimowolnie jedynie instrumentem służącym nam do zarabiania pieniędzy. Pieniądze są, oczywiście, bardzo ważne, obok tego iż zarabiamy tu także na nasze utrzymanie, musimy jeszcze uczyć, wychowywać, kształtować podstawy, rozwijać poglądy, utrzymywać słuszne przekonania — jednym słowem musimy pamiętać, że pracujemy (z małymi, bo z małymi, ale zawsze ludźmi) i że w każdym z nich musimy rozbudzić i pielegnować prawdziwie wspaniałego wielkiego człowieka.

Uczeń nie może być tylko przedmiotem pedagogicznej obróbki. Powinien być przede wszystkim aktywnym i dynamicznym się rozwijającym obiektem i jednocześnie podmiotem działań nauczyciela, przy czym nie należy wykluczyć możliwości kształcenia osobowości nauczyciela także przez ucznia. Współpraca nauczyciel—uczeń powinna być wspólnym trudem, którego celem byłoby doprowadzenie nieporadnego malucha do — w miarę — ukształtowanej jednostki, reprezentującej pozytywny stosunek do ludzkiego rozumu oraz wypełnionej szacunkiem i miłością do drugich.

Uczeń i nauczyciel to nieodłączna para procesu dydaktycznego i wychowawczego. Nie należy tych dwojga rozłączać. Związkiem nie powinien tego robić sam nauczyciel,

budując chociażby mury egoizmu czy nawet niechęci. Ostatnio coraz częściej pojawiają się w naszych publikacjach różne wypowiedzi uczniów dotyczące ich nauczycieli. Zazwyczaj nie jesteśmy — niestety — oceniani zbyt wysoko. Trochę za mało umiejętności czy też raczej niechęci do ich wykorzystywania w praktyce. Niekiedy kłania się nawet brak odpowiednio rozległej wiedzy merytorycznej. A już na pewno, w jakże wielu przypadkach, dostrzec możemy brak przekonania nauczycieli (a i zdolności oraz wiedzy w tym zakresie) do prowadzenia pracy pozalekcyjnej, zwłaszcza w różnego rodzaju organizacjach.

A przecież nauczyciel powinien być wzorem osobowości, skupiającej w sobie tak umiejętności pedagogiczne oraz dydaktyczne, jak i — najogólniej pojęte — podstawowe wartości ludzkie, humanistyczne. Nauczyciel powinien być przede wszystkim człowiekiem, którego praca winna wywierać na uczniach niezmywalne piętno pozwalające młodym ludziom z łatwością znaleźć się w świecie współczesnym, uwrażliwić na cele głębsze i bardziej wartościowe, jakie powinni sobie stawiać w bliższej i dalszej przyszłości; powinien wreszcie pozostawiać we wspomnieniach byłych wychowanków pamięć o nietuzinkowym człowieku.

To, co napiszę poniżej, zabrzmi niewątpliwie jak frazes. Często jednak pozorne frazesy budują rzeczy naprawdę piękne. Otóż pamiętać musimy, że zawód nauczycielski to nie tylko profesja, ale przede wszystkim powołanie. Praca nauczyciela to nade wszystko posłannictwo i tak właśnie powinno się ją traktować. Przyjawszy taką właśnie kategorię oceny naszego zawodu, pozbędziemy się wszelkich niedomówień związanych z nadmiarem obowiązków, nieopłacalnością czy potencjalnym brakiem efektów wychowawczych czy dydaktycznych w związku z pracą ze szczególnie słabymi uczniami. Czyż prawdziwie dobry lekarz może odmówić pomocy ofierze wypadku tylko dlatego, że jest na urlopie, albo że skończył właśnie dzień pracy? Czy strażak przejdzie obojętnie obok płonącego domu tylko dlatego, że zaplanował na dzisiejszy dzień wolne? Tak w pracy lekarza, strażaka i nauczyciela (a i zapewne w wielu innych zawodach) istnieją potrzeby wyższego rzędu, potrzeby mobilizujące nas do swoich poswieceń, do podporządkowania także życia osobistego, sprawom zawodowym.

Powinniśmy czuć się dumni z faktu, że jesteśmy nauczycielami. Więcej, winniśmy w jakiś naturalny sposób ować dumę podkreślać. Najdoskonalszą zaś formą uwy-

datniania dumy z wykonywania tego zawodu jest doskonała i pełnym sercem wykonywana praca. Pracy swojej nie powinniśmy jednak ograniczać jedynie do wypełniania spraw podstawowych, musimy szukać wszelkich sposobów sprzyjających rozwojowi naszych podopiecznych, rozwojowi ich wiedzy, potrzeby kształcenia się oraz wrażliwości społecznej.

Zawód nauczyciela jest zajęciem szczególnym. Jest zawodem niewątpliwie twórczym. Pozwala nam przebywać całymi godzinami sam na sam z tworzywem naszej działalności, kształtować je, tworzyć w nim rzeczy piękne. Dlatego lekcje nie mogą być powielaniem schematu: nauczyciel siedzi naprzeciwko uczniów, którzy siedzą naprzeciwko nauczyciela i uczą się z książek. Uczniowie i owszem powinni być w rzeczy samej samodzielni, nie można jednak pozostawiać ich samym sobie wobec nowego zwłaszcza materiału. Podobnie zresztą nie można być nadto opiekuńczym. Nie można za wszelką cenę narzucać im własnych interpretacji, naszych przekonań odnośnie określonych treści, naszego odczytania tych czy innych zagadnień. Niemniej jednak, dzięki naszej pracy właśnie, naszej dobrej pracy, uczniowie mogą i powinni wszechstronnie i z możliwie dużą dozą tolerancji poznawać rzeczy nowe, analizować je, odczuwać potrzebę pogłębiania tych wiadomości, cieszyć się z możliwości dokonywania odkryć własnych, możliwości dzielenia się nimi z innymi — z nauczycielem także. Jak wiele więc może zdziałać nasza praca!

By jednak dojść do tego rodzaju sukcesu, nie możemy być obojętni na to, w jaki sposób widzą nas nasi uczniowie, jak oceniają naszą pracę. Spotykamy się z nimi niemal codziennie. Przynajmniej raz w tygodniu mamy z nimi lekcję. Jesteśmy dla nich kimś, na kim skupiają swoją uwagę. Obserwują nasze zachowanie, nasze poczynania, nasz trud (albo niechęć do jego ponoszenia). Analizują nasze czyny, nasze słowa, relacje, jakie zachodzą między tym, co mówimy, a tym co robimy w rzeczywistości. Bywają bardzo surowymi krytykami — choć przecież rzadko zdarza się nam tak naprawdę wysłuchać tego, co mają na nasz temat do powiedzenia. Czasem tylko usłyszymy coś od osób trzecich. Czasem, bardzo rzadko, wprost — podczas jakiejś kłótni. Czasem, przypadkiem...

Nie ufajmy zbyt wiele naszemu dobremu mniemaniu o sobie, naszemu prywatnym, subiektywnym poglądom na temat tego, co robimy. Zbyt łatwo bowiem usprawiedliwiamy się niekiedy z naszych nie najlepszych posunięć, zachowań czy postaw. Uczeń tymczasem obserwuje nas

jako całość. Nie oddziela tego, co mówimy i co robimy i jak się zachowujemy w różnych sytuacjach — od naszej osoby jako nauczyciela. Zachowania i wypowiedzi nie- zbyt poprawne — zdaniem ucznia — mogą mieć zdecydowanie negatywny wpływ na efekty naszej z nim pracy.

Praca nauczyciela, wychowawcy zwłaszcza, to w dużej mierze przekazywanie wychowankom siebie samych, własnych doświadczeń, wiedzy, znajomości różnych dobrych i złych stron naszego życia. Tym bardziej więc musimy pamiętać o konieczności ciągłego rozwoju swojej osobowości, o samokształceniu, o rozwijaniu swojej wrażliwości na różne problemy dotyczące tak osób dorosłych jak i samej młodzieży. Nie możemy natomiast stać w miejscu. Podobnie jak nie możemy reprezentować swoim życiem podstaw chwiejnych, a już tym bardziej nagannych moralnie. Musimy się liczyć z tym, że w naszym zawodzie trudno oczekiwać na brak reakcji wobec mniejszych czy większych naszych „występów”. Nauczyciel chcąc kształtować w swoich wychowankach określony system moralny, sam musi go w pełni realizować więcej — rozwijać i umacniać w sobie samym. Niedobrze jest „oszukiwać”. Trudno w takim wypadku liczyć na sukces. Podobnie jak nie może na to liczyć lekarz, który powiedzmy paląc papierosa za papierosem, stara się nas przekonać o szkodliwości palenia tytoniu.

I jeszcze jedno. Musimy pamiętać, że każdy nasz czyn jest początkiem reakcji, której efektem będzie taki a nie inny stosunek do świata naszych uczniów, w przyszłości pełnoprawnych obywateli kraju, w którym wszyscy razem żyjemy. Musimy też pamiętać, że uczniowie, nasi wychowankowie i podopieczni, to — jak to pięknie określił swego czasu Korczak: „...nie światek, a świat, nie drobnych, a doniosłych, nie niewinnych, a ludzkich wartości, zależności, przywar, dążeń, pragnień”. I tylko od nas — nauczycieli zależy, czy te z pozoru drobne, kruche istoty wyrosną autentycznie na dobrych i wspaniałych ludzi. I tylko od nas — nauczycieli zależy, czy ich stosunek do pracy będzie taki, jakiego oczekujemy, czy też nie. Czy pokochają trud działania dla siebie i dla innych, czy też zdecydują się na spędzanie czasu (także czasu ich pracy) z założonymi rękoma. Czy wreszcie, odkrywając piękno i doniosłość działania, ukażą na nowo sens pracy ochoczej, radosnej, dającej satysfakcję — tak ją wykonującym, jak i całemu społeczeństwu, o czym jak na razie w zasadzie możemy tylko marzyć, ale o czym jednocześnie marzyć powinniśmy...

JAROSŁAW KORDZIŃSKI
Kurów

NIC DO UKRYCIA

Proponuję krytyczne spojrzenie na tajemnicę rady pedagogicznej. Sądę, iż traktowanie tego zagadnienia w dotychczasowych kategoriach praktyki szkolnej jest anachronizmem. Utrzymywanie w sekrecie wypowiedzi nauczycielskich może mieć uzasadnienie tylko w dwóch przypadkach. Po pierwsze — gdy idzie o motywowanie

ocen, szczególnie negatywnych, z przedmiotów nauczania. Po drugie — jeżeli omawiane są intymne sprawy dotyczące ucznia lub jego rodziny.

We wszystkich pozostałych sprawach rada pedagogiczna nie ma nic do ukrywania. Nawet przeciwnie: powinno się zabiegać o jawność dyskusji. Nie widzę żadnych istotnych powodów, które mogłyby „torpedować” udział w radzie pedagogicznej przedstawicieli młodzieży, rodziców czy jeszcze kogoś innego. Oczywiście z zachowaniem zasad zdrowego rozsądku. Pomijam tu — celowo — formalnoprawne, liberalne usta-

lenia, zalecenia władz oświatowych. Ustalenia zresztą mało popularne. W tym miejscu zajmuję się głównie rzeczywistością edukacyjną.

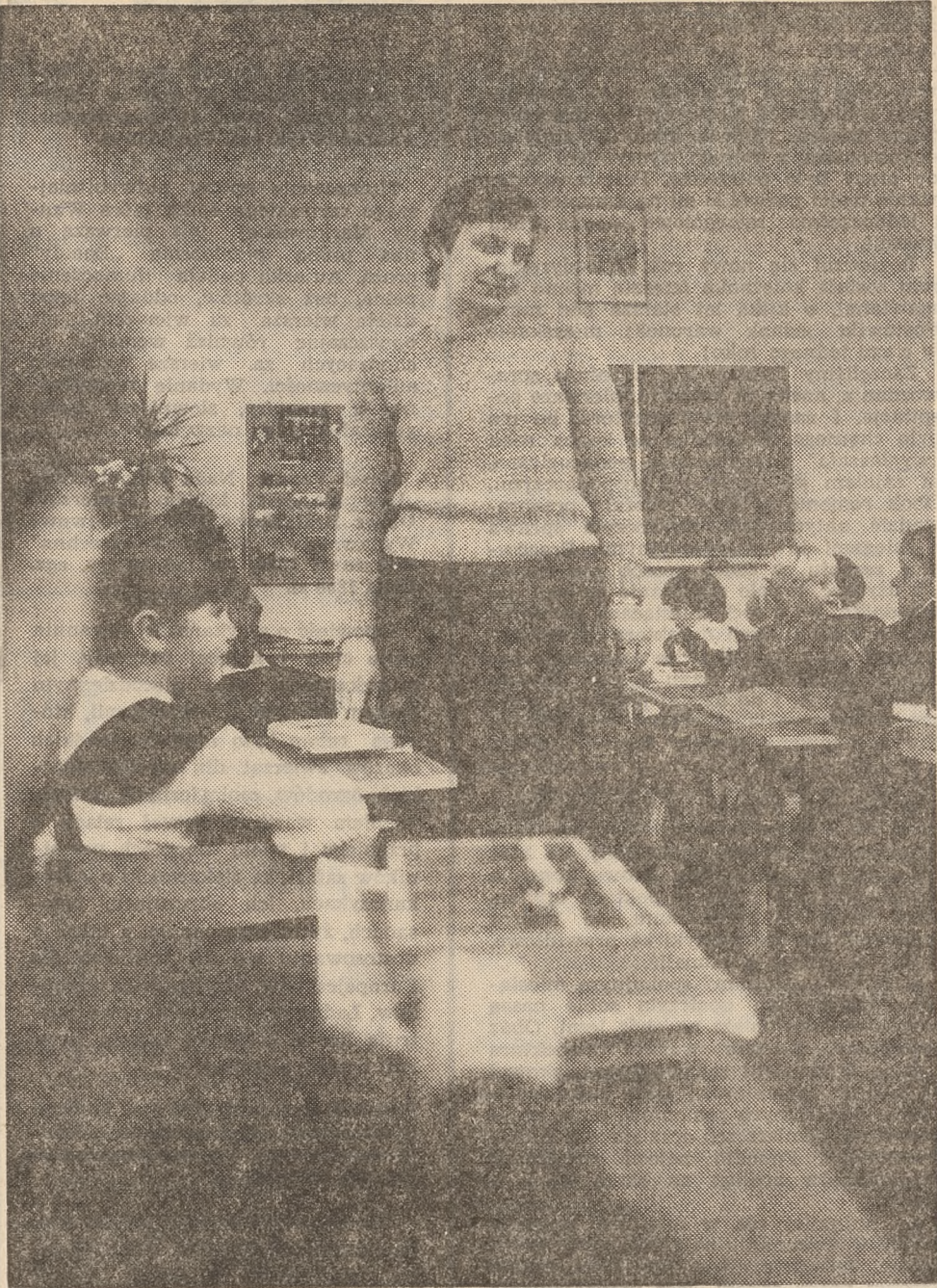
Komu może przeszkadzać wymiana zdań, nie tylko z udziałem nauczycieli, na przykład w kwestii indywidualizowania wymagań względem uczniów, przeciążania dzieci zadaniami domowymi, bądź w sprawie funkcjonowania organizacji młodzieżowej, samorządności, podejmowania współpracy ze środowiskiem pozaszkolnym, albo w sprawie braku harmonii w poczynaniach wychowawczych?

Te zagadnienia, i wiele innych, wymagają właśnie szerokiego i wszechstronnego oglądu. Szkoła bowiem nie służy tylko sobie i nie jest tylko dla siebie. Społeczeństwo ma więc prawo i obowiązek czynnie interesować się tym, co dzieje się w placówkach oświatowo-wychowawczych.

Jeśli rady pedagogiczne właściwie pojmują swoją rolę, powinny zabiegać o kontakty z otoczeniem (to się zdarza zbyt rzadko). Powinny mieć wolę społecznego weryfikowania własnych poczyną. Chociażby po to, aby zapobiegać błędom, nieporozumieniom, kulturowaniu schematów metodycznych i myślowych nie wytrzymujących już próby czasu, czy próby danej sytuacji.

Mam dość bogate doświadczenie zawodowe. „Zaliczyłem” siedem szkół w trzech odległych od siebie województwach. Mogę powiedzieć, iż przeszedłem swoje piekło nauczycielskie. Bywało bardzo ciężko, ale sporo się przez to nauczyłem. Taki nietypowy, dość solidny chyba, uniwersytet.

I dziś dochodzę do wniosku, że ilekroć gdzieś w konkretnej placówce lamentuje się na temat naruszania tajemnicy rady



JAKI START EKONOMII

Mija pół roku od wprowadzenia do szkół ponadpodstawowych przedmiotów uzupełniających. Znajduje się wśród nich propedeutyka wiedzy ekonomicznej. Za wcześnie jeszcze na stawianie zdecydowanych ocen, jednakże już pierwsze miesiące realizacji programu nasuwają pewne spostrzeżenia i refleksje.

W szkole, w której pracuję, wprowadzono w bieżącym roku trzy przedmioty uzupełniające: religioznawstwo, psychologię z pedagogiką i propedeutykę wiedzy ekonomicznej. Są one prowadzone w klasach pierwszych (dwie klasy technikum i dwie klasy liceum zawodowego). Przydziału do poszczególnych grup przedmiotowych dokonano na podstawie pisemnych deklaracji uczniów w czerwcu po egzaminach wstępnych. Do grupy propedeutyki zadeklarowało się 32 uczniów z czterech klas. Zajęcia prowadzone są na styku, gdy w jednych klasach kończą, a w innych rozpoczynają zajęcia lekcyjne. Stwarza to trudności organizacyjne.

Na pierwszych zajęciach uczniowie pełni byli ciekawości i oczekiwaniami, nauczyciele

— obawy i niepewności, czy zdołają sprostać, zaspokoić oczekiwanie młodzieży, zainteresować problematyką ekonomiczną, która w ich mniemaniu winna być w zasadzie domeną świata ludzi dorosłych.

Autorzy programu, uzasadniając treści w nim zawarte, stwierdzają iż „(...) kończący szkołę podstawową zetkną się z elementarnymi zasobami informacji i wiedzy o gospodarce kraju i podstawowych mechanizmach funkcjonowania i rozwoju gospodarki socjalistycznej (...)” Jestem z wykształcenia ekonomistą, mam za sobą wiele lat pracy w przedsiębiorstwie oraz wieloletnie już doświadczenie nauczyciela przedmiotów ekonomicznych w szkołach średnich. Dlatego szczegółowa analiza programu nasunęła mi wątpliwości, czy zlokalizowanie propedeutyki w klasach pierwszych nie rozminie się z ambitnymi celami, jakie brano pod uwagę przy jej wprowadzaniu. Uczniowie w klasie pierwszej psychicznie nastawiony jest na adaptację w nowym środowisku, na pokonanie barier, jakie wyłaniają się w toku zdobywania wiedzy z podstawowych przedmiotów. Przejście ze szko-

ły podstawowej do średniej traktowane jest przez rodziców i uczniów jako awans życiowy. Uczeń musi więc do tej roli dorastać, dojrzewać i to przypada szczególnie właśnie na okres pierwszej klasy. Młody człowiek ma więc tyle problemów w tym pierwszym okresie nauki w szkole, że trudno jest od niego wymagać, aby zdecydowanie, świadomie deklarował wybór nowych zainteresowań.

Rozpoczynając zajęcia z tą właśnie świadomością, przyjąłem, że należy dobrać takie metody, które by w maksymalnym stopniu przekonały młodzież, że przedmiot jest nie tyle trudny co ciekawy. Na korzyść programu trzeba stwierdzić, że zachowana jest w nim zasada stopniowania trudności. Pierwsze tematy, na przykład potrzeby jako źródło aktywności ludzkiej, nie nastrożają trudności w realizacji. Można tu, powołując się na wiadomości z historii, geografii, przykłady z życia codziennego, wytworzyć atmosferę zainteresowania i pobudzić aktywność uczniów. W podobny sposób wprowadzałem temat: praca warunkiem egzystencji jednostki i społeczeństwa.

Realizując kolejne hasła programowe uważałem za konieczne wprowadzenie dalszych podstawowych pojęć ekonomicznych, takich jak dobra i ich podział, produkcja i jej czynniki, siły wytwórcze. Trzeba by też omawiając temat — mechanizm społecznego procesu gospodarowania — omówić w sposób skrótowy zasady działania podstawowych prac ekonomicznych. Wydało mi się to konieczne, aby lepiej rozumieć następny temat: dochód narodowy. To zagadnienie wydaje mi się szczególnie ważne. Właściwe jego zrozumienie przez uczniów jest jednym z warunków powodzenia w realizacji dalszych treści programowych, jest kluczem zrozumienia wielu zjawisk z życia gospodarczego i społecznego kraju.

Oprócz tablic, schematów i rocznika statystycznego, wykorzystałem tu dwuczęściowy, dostępny w „Filmosie” film pod tytułem „Dochód narodowy”. Jest to wprawdzie film nieco przestarzały, ale dość skutecznie pomaga w zrozumieniu tematu.

Dążąc do uaktualnienia zajęć, zalecam uczniom korzystanie z prasy codziennej. Uczniowie przynoszą na lekcje wycinki z gazet, informacje zasłyszane w radiu i telewizji. W ten sposób uaktualniają również prowadzone zeszyty przedmiotowe.

Nie może to jednak w pełni satysfakcjonować uczącego. Z większymi trudnościami spotkałem się przy omawianiu miejsca i roli rynku w gospodarce socjalistycznej oraz zasad i warunków racjonalnego gospodarowania w socjalistycznym systemie społeczno-gospodarczym. Występują tu trudności w zrozumieniu przez uczniów współzależności zjawisk ekonomicznych, na przykład efektywności wykorzystania dostępnych środków, a zaspokajania społecznych potrzeb, sprzeczności występujące w polityce społeczno-ekonomicznej. Trudno jest również na tym etapie edukacji wdrażać problematykę planowania gospodarczego. Nawet zdolni, ambitni uczniowie ogra-

niczają odpowiedzi tylko do treści wyuczonych, trudno wygłaskować odpowiedzi pełne, wykazujące zrozumienie omawianego tematu. Trudności te wynikają z faktu, że absolwenci szkoły podstawowej nie mają odpowiedniego merytorycznego przygotowania do odbioru i rozumowego przyswojenia sobie trudnych dla nich zagadnień. Tematy te wymagają zdolności do abstrakcyjnego myślenia, logicznego, wnioskowania i uogólnień. Przerasta to możliwości 15-latków, co zmusza uczącego do wprowadzania szeregu uproszczeń. Obniża to niewątpliwie zamierzoną efektywność w nauczaniu przedmiotu.

Trzeba tu dodać, że młodzież nie posiada żadnych podręczników. Nie ma też możliwości zaproponowania podręczników zastępczych. Nauczyciel uczyć więc przedmiotu nastawionego na unowocześnienie myślenia społecznego, zmuszony jest do posługiwania się metodami bardzo nienowoczesnymi. Dyktowanie do zeszytów zajmuje wiele czasu na lekcji, zniechęca uczniów i musi prowadzić do spłykania treści, do zmniejszania wymagań.

Celowe wydaje się dokonanie korekty programu propedeutyki wiedzy ekonomicznej w odniesieniu do szkół zawodowych. W technikach i liceach zawodowych w klasach trzecich lub czwartych nauczane są przedmioty ekonomiczne: w technikach — ekonomika, w liceach — gospodarka przedsiębiorstw. Wiele haseł z programu propedeutyki wiedzy ekonomicznej mieści się w przedmiotach ekonomicznych lub propedeutyce wiedzy o społeczeństwie w klasach czwartych. Powtarzanie tych samych treści w sytuacji, gdy już mamy do czynienia z dużym obciążeniem uczniów, uważam za niecelowe. Uznając zasadność wprowadzenia do szkół ponadpodstawowych propedeutyki wiedzy ekonomicznej, co wynika z potrzeby społecznej edukacji ekonomicznej, należałoby uwzględnić: stopień trudności programowych jak również predyspozycje psychiczne młodzieży i przesunąć nauczanie przedmiotu do klasy trzeciej; wyposażyć nauczycieli i uczniów w podręczniki przedmiotowe; emitować w telewizji w godzinach popołudniowych programy tematycznie związane z nauczaniem przedmiotem; któreś z pism młodzieżowych, np. „Sztandar Młodych”, mogłoby przynajmniej raz w miesiącu wydawać wkładki treściowo związane z programem propedeutyki wiedzy ekonomicznej; trzeba też wzbogacić filmoteki „Filmosu”.

Można by tu postawić zarzut zbyt wygórowanych zadań, uzasadniając go podobnymi brakami w innych grupach przedmiotowych. Trzeba tu jednak uwzględnić fakt, że jest to przedmiot nowy, często kontrowersyjny. W myśl ambitnych oczekiwań społecznych ma on odegrać szczególną rolę w kształtowaniu świadomości obywatelskiej młodzieży. Stąd działania dla osiągnięcia pełnej efektywności winny być traktowane priorytetowo.

BRONISŁAW ZWOLENIK
Nowy Sącz



Zdjęcia M. Suchecki

pedagogicznej (pomijam tu samo plotkowanie zawsze godne napiętnowania), tylekroć mamy do czynienia z zabagnionym lub popelniającym niewątpliwie błędy środowiskiem nauczycielskim. Jest to spostrzeżenie nie tylko moje. Potwierdzają ten fakt niektórzy nietuzinkowi pedagodzy, przekonują o tym efekty działalności publicystycznej. W rozmowie, bądź pisemnie wypowiedziadają swoje uwagi i żale rodzice. Widać w tych wypowiedziach bunt przeciw nieprawościom szkolnym. I druga sprawa dająca do myślenia: proszą o zachowanie anonimowości. Mówią wręcz, że boją się szykan w stosunku do swoich dzieci. O czym to świadczy? Jest moment optymistyczny: zapewniam, iż jeśli zajdzie niezbędna konieczność (należy rozumieć — po stwierdzeniu woli naprawy sytuacji), ujawnią się i przytoczą dowody.

Oczywista, iż dobrze pracujące grono pe-

dagogiczne nie boryka się z problemem zawodowych tajemnic. Po pierwsze dlatego, że nauczyciele swoje role pełnią na wysokim poziomie i wzajemne ploteczki im nie w głowach. Po drugie — ponieważ tacy są właśnie, potrafią inteligentnie, skutecznie oraz w porę rozwiązywać trudne sytuacje wychowawcze, dydaktyczne.

Ludzie, którym stawia się wysokie wymagania i którzy sami sobie stawiają wysokie wymagania, umieją na siebie spojrzeć krytycznie. Gdyż do samokrytycyzmu przez nieuctwo i zadufanie się, niestety, nie dojdzie.

Schematyzm warsztatowy, intelektualne zaciemnienie, niskie odruchy na dłuższą metę można utrzymać, jeśli — właśnie — chowa się je w tajemnicę; przed środowiskiem, przed władzami resortowymi i inny-

mi. Najbardziej zacietrzewioną solidarność wykazują ludzie ograniczeni. Zjawisko typowe dla innych zawodów i okoliczności również.

A cóż mają do ukrywania poprawnie, dobrze, czy wręcz znakomicie pracujący nauczyciele? Swoich sukcesów mieliby się wstydić? Rezultatów wynikających ze współdziałania z rodzicami, kolegami, młodzieżą? Profesjonalnych, różnorodnych środków stosowanych zgodnie z zaleceniami literatury fachowej? Zyciowości dla uczniów i wewnętrznej wysokiej kultury mają się kępować?

Raczej przeciwnie. Są zainteresowani docenianiem ich koncepcji, starają się osiągnąć, są zainteresowani dodatkowymi źródłami inspiracji.

Wnikliwe przyjrzenie się tzw. tajemni-

cy rady pedagogicznej jest konieczne także dlatego, że niejednokrotnie owa tajemnica bywa wykorzystywana do marnotrawienia ciekawych, mądrych pomysłów i zniechęca do podejmowania trudu nauczycielskiej twórczej, solidnej pracy. Dobrze by było, aby sygnalizowany tutaj problem zainteresował się resort oświaty i wychowania, ogólna ZNP, organizacje partyjne. Niektóre nasze przyzwyczajenia profesjonalne warto rewidować. Leży to w interesie szkoły i wychowania.

STANISŁAW ŚWINIARSKI
Brody Żarskie

CZUJĘ SIĘ BIUROKRATĄ

III NAGRODA

Od 1983 roku jestem nauczycielem. Nauczycielem wiejskim. Mam 26 lat, a już drugi rok jestem dyrektorem 19-oddziałowej szkoły podstawowej. Wcześniej, przez pół roku, byłem wicedyrektorem. Teraz czuję, że jestem biurokratą. Jest to gorzka prawda. Czy jest metoda, żeby to zmienić? Tak, ale o tym później.

Wybór zawodu był wyjątkowo świadomy. Wystarczało długo przyglądać się pracy moich rodziców, aby zrozumieć, iż samorealizacji doznam właśnie w szkole. Ojciec był dla mnie wzorem pedagoga. Nawigator, prawdziwy demokrat w kierowaniu placówką (dyrektor Zespołu Szkół Zawodowych). Matka — wychowawczyni w Państwowym Domu Dziecka. Serce szlachetne, otwarte dla dzieci. Tacy są moi rodzice. Poświęcili swoje życie dzieciom własnym i innych. Dorobili się dwóch pokoi (35 m kw.) i starego fiata (ojciec — 35 rok pracy w oświacie, doktor nauk humanistycznych, matka — 17 rok pracy — wyższe zawodowe). Zawsze jednak mają to, czego dziś tak mało — uśmiech na twarzach.

Po obronie dyplomu magisterskiego konferencja przedmiotowa i 1 września. Pierwsza lekcja i... chyba jak u każdego mówicjusza — błąd strach. Nie pamiętam tej lekcji, przynajmniej niewiele. Czuję się tak, jakbym miał nóż na gardle.

Rok wcześniej startowała moja żona — też nauczycielka. Żona codziennie pisała konspekty. Zrobiłem to samo. Konspekt to kapitalna rzecz. Pozwolił mi na dokonanie tych działań pedagogicznych, które wpajał mi ojciec i częściowo uczelnia i nauczyciele. Po sześciu miesiącach, nawet bez ocen częściowych, mógłbym wystawić ocenę półroczną większości moich uczniów. Taki styl pracy wymagał jednak czasu. A soboty spędzałem z uczniami na sali gimnastycznej.

I byłbym usatysfakcjonowany całkowicie, gdyby nie „pusta” obietnica gminnego dyrektora w sprawie mieszkania. Po 8 miesiącach dyrektor prosił o zrozumienie, problemy z mieszkaniem uzasadniał względami obiektywnymi. Mieszkanie zostało przyznane komu innemu i zresztą nie ważne komu.

Po przyjęciu dziecka na świat, wspólne zamieszkiwanie z rodzicami stało się uciążliwe. Za pośrednictwem „Głosu” znalazłem pracę z mieszkaniem. Nareszcie byliśmy „u siebie”. Dom „po remoncie”, dużo wilgoci — ale u siebie. Przez rok, pracując w szkole, przeprowadziłem remont na swój prywatny rachunek. Nie ma na to, nie ma na tamto. Widać trzeba się przyzwyczaić. Żona na urlopie wychowawczym. Po 20 każdego miesiąca trzeba coś sprzedać — najlepiej książki, bo towar to chodliwy.

W nowej szkole otrzymałem jednak wymarzony warsztat pracy. Wspaniała pracownia, niezwykle funkcjonalna. Od poniedziałku do piątku w pracowni, brakowało mi czasu na „pokój nauczycielski”. W soboty, jak zwykle, na sali gimnastycznej. Dąłem się polubić dzieciom i celowo, i rozmyślnie. Szczególnie próbowałem znaleźć wspólny język ze swoim zespołem klasowym. Opiekowałem się klasą siódmą. Czuję jednak, że bez współdziałania z rodzicami pewne sprawy ujdą uwadze.

Do rodziców trafiłem przed pierwszą wywiadowką. Zaczęłem od domów trudniejszych — tak przynajmniej określali je koledzy pedagogzy. Dobrze przyjęli mnie wszyscy — toteż pierwsze wspólne spotkanie przebiegało w niecodziennej atmosferze. Postawiłem rodzicom kawę (za co?). Nie rozmawialiśmy o ocenach, a zajęliśmy się konkretnym planem działania. O postępach w nauce rozmawiałam indywidualnie, w domach rodzinnych. Ustaliśmy wycieczki, stworzyliśmy zespoły pomocy koleżeńskiej, określiliśmy terminy zabaw, prac społecznych. Zapowiadała się przyjemna praca.

Wśród grona pedagogicznego czułem się dobrze, a oni raczej przyglądali mi się, niż pomagali. Ale nie przeszkadzało. Dyrekcja przychylna.

Choć moje skromne żądania były „torpedowane” względami obiektywnymi. Był dyrektor tej szkoły, emeryt, zaglądał do mnie na lekcje, z chęcią mnie zastępował. Wiem, że lekcji nie prowadził, a sprawdzał poziom wiedzy uczniów. W grudniu przy-

szedł do pokoju nauczycielskiego, przy koleżankach i kolegach uściśnął mi dłoń i pogratulował. Przyjąłem gratulację z rezerwą, choć dowiedziałem się później, że taki uściśk dłoni dyrektora to tyle, co milion w „totka”.

Był to dla mnie doping do lepszej pracy, do doskonalenia się. Oznaczało to tyle, co wszystkie systemy motywacyjne razem wzięte. Ten bodziec spowodował zagłębienie się w tajniki przedmiotu. I to na tyle, że przynajmniej dwa razy w miesiącu byłem u swojego metodyka. Jego doświadczenie pomogło mi wiele. Mój opiekun obnażył moje braki — ale zrobił to tak kulturalnie, że jego uwagi przyjąłem bez wstrząsu. Zaczęłem poważnie i wytrwale pracować nad doskonaleniem warsztatu pracy. Wraz z żoną potrafiłbym niejednokrotnie wymienić kilka ostrych zdań związanych z dydaktyką. Jestem przekonany, że stałbym się w przeciągu 4—5 lat nauczycielem umiającym nauczyć, nie rutyniarzem — ale nauczycielem.

Ale zaproponowano mi pełnienie funkcji wicedyrektora szkoły. Nie było tak, jak to określił kol. A. Łazarz („GN” 44/86): „Przyjdą młodzi, którzy „chorują” na tytuły, stanowiska i pieczętki, nie mający wiedzy o tym, jaką aktualnie robotę wykonują inspektorzy”. Nie „chorowałem” na to stanowisko.

Ktoś spyta: a wiek, staż pracy? Odpowiedź prosta i dzisiaj, mimo 26 lat, staż mam zbyt mały, aby być dyrektorem szkoły. Pewnie, że brak doświadczenia nie wpływa dobrze na efektywność działania. Brak kadr jest jednak na tyle oczywisty, że alternatywy nie ma.

Przyjąłem więc funkcję wicedyrektora. Wziąłem się za dokumentację pedagogiczną, która przedstawiała fatalny obraz. Pomijam ogólny bałagan, ale brak arkuszy ocen? Po miesiącu wiedziałem, że nauczanie czasu nie będzie za wiele. Pierwsze kilka miesięcy na stanowisku to odrabianie zaległości. Dyrektor „zabłądził” na studiach (też młody chłopak), a że nie było mu zbyt lekko, nie widziałem go kilka miesięcy. Przed wakacjami porozmawialiśmy sobie szczerze. Powiedział, że nie wróci.

W sierpniu znów brak kadr. Przyjąłem dyrektowanie. Pół koniec września nauczelnik (?) powierzył mi funkcję dyrektora szkoły. Przyjąłem. Skoro raz podjąłem się czegoś, uznałem że dokończę.

Całkowite i jednoznaczne poparcie grona pedagogicznego utwierdziło mnie w przekonaniu, że kierowanie takie a nie inne, jest właściwe. Okres wakacyjny spędziłem na studiowaniu fachowej lektury i tworzeniu planów pracy. Był to dla mnie trudny okres. Wszystko, co robiłem, było nowe. Pomocnej ręki nie znalazłem (poza własnym ojcem). Chciał pomóc były dyrektor — emeryt, ale było to utrudnione przez głupotę ludzką! W środowisku głośno mówiono, że człowiek, który odszedł, nie powinien się mieszać. Inspektora nie mieliśmy. Całkowicie byłem zdany na siebie.

Organizację prac w nowym roku szkolnym przygotowałem samodzielnie. Blisko 20-oddziałowa szkoła nie jest jeszcze

czymś dużym, ale jej tradycja zobowiązywała. Najtrudniejszy był plan pracy, „ściągawka” w postaci starego planu — nie odpowiadała mi. Uwzględnienie wniosków grona pedagogicznego powodowało konieczność niezwyklej konkretyzacji planu działań. „Główne kierunki” stały się dokumentem, z którego wyczytałem to, co do pracy było potrzebne. Przetransportowanie treści pozwoliło mi na kompleksowe i jednocześnie szczegółowe ujęcie wielu kwestii.

Rozpoczął się nowy rok. Wicedyrektorem została koleżanka (zresztą mocno namawiana), o kilka lat starsza ode mnie. Postawiła jednak warunek: mieszkanie w ciągu jednego roku!

Zaczęliśmy działać. We wrześniu sprawozdania, aneksy do projektu, pierwsze hospitacje. I znów bez inspektora, bo nie było chętnego. Koleżanka do końca roku „wygłaszała” dokumentację pedagogiczną, ja zajmłem się sprawami gospodarczymi. Obok remontów, które należało przeprowadzić natychmiast, wyskoczyła sprawa z księgami inwentaryzacyjnymi. Pracownicy zespołu w żaden sposób nie chcieli ich użyć, trwało rozliczanie mojego poprzednika. Po dwóch miesiącach pełnienia przeze mnie funkcji dyrektora „życzliwy” pouczył mnie, że całkowite rozliczenie powinno nastąpić w ciągu 7 dni. Trwało 8 miesięcy. A, i do dzisiaj pokutują przykre konsekwencje opieszalej księgowości. Nie oświadczając spręży latwo pomylić, a fatalnie przeprowadzona inwentaryzacja nie zezwala na pełne ich oznakowanie.

W styczniu pojawił się człowiek, który zajął się oświatą gminną. Poczulem rękę zwierzchnika. Byłem zadowolony, że ktoś na miejscu pomoże. Tygodniowa kontrola przeprowadzona przez inspektora utwierdziła mnie w przekonaniu, że wzorce wprowadzone do praktyki są prawidłowe, należy je jednak doskonalić.

Luty był „ostatnim” spokojnym miesiącem. Kuratorium upatrzyło sobie naszą placówkę jako obiekt na obóz leśny. Obóz szczególnie. Kurator wezwał inspektora i mnie. Przydzielił zadania i podziękował za wizytę. Inspektorowi zlecił przeprowadzenie niezbędnych remontów, mnie przygotowanie pomieszczeń oraz sprzętu audio-wizualnego. Ponadto polecił pozostawić pracowników obsługi na okres lipca w pracy.

Co najmniej raz w miesiącu lustracje szkoły w wykonaniu najroźniejszych czynników. Jednakże nikogo nie interesowały sprawy pracy szkoły, lecz przygotowania do obozu. Całkowita dezorganizacja. Na remont w trakcie roku musiałem się zgodzić, właściwie nikt mnie o to nie pytał. Farby olejne, brud i bałagan — w takich warunkach przyszło uczyć dzieci. Osoby wizytujące szkołę pod kątem stanu sanitarnego jedynie mi współczuły. Na normalną pracę nie pozostawało wiele czasu. Raczej administrowałem. Pisałem podania, składałem meldunki. Wypada mi się w tym miejscu pokłonić gronu pedagogicznemu, które funkcjonowało na wysokim poziomie. Nie miałem problemów związanych z dyscypliną pracy, choć kilka rozmów musiałem przeprowadzić.

Pomimo tej krzątaniny, nie potrafiłem „uciec” od pracy z dziećmi. Spotykałem się z nimi po zajęciach, w pracy organizacyjnej i kół. Czuję się jednak zagubiony. Nie potrafiłem nawiązać właściwego kontaktu z dzieckiem. Byłem przemęczony.

Zakończenie roku przyjąłem z ulgą. Choć nie zupełnie. Na urlop pozwolić sobie nie mogłem, bo rozpoczął się obóz. Szkoły trzeba było dopilnować i jednocześnie przygotować nowy rok.

Po dwóch tygodniach wypoczynku wróciłem do pracy. Mój umysł cały czas zaprzętała jedna myśl — doskonalenie pracy szkoły. Prowadzenie lekcji pokazowych okazało się skuteczne. Zaproponowałem indywidualną opiekę nad nauczycielami młodymi. Na efekty trzeba jednak poczekać.

Obecnie, obok dyrektowania, jestem jeszcze konserwatorem, zaopatrzeniowcem, sprzątaczką, palaczem itd. Żeby było dobrze, tak być musi.

(Nazwisko i adres znane redakcji)



Fot. M. Suchecki

LEKTURY

Vergiliusz „Eneida” Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia” Warszawa 1987. Wyd. II poprawione. Nakład 30 tys. egz. Cena 700 zł.

Tłumaczenie eposu najwybitniejszego rzymskiego epika piora Wandy Markowskiej jest pierwszą u nas próbą przełożenia „Eneidy” prozą. Autorka podała tłumaczenie pełne, bez skrótów, oddając tekst dzieła wiersza za wierszem, nie opuszczając również wersów uchodzących za wiersze wątpliwej autentyczności. Wydanie zaopatrzone w przypisy, słowniczek nazw geograficznych i nazw ludów.

Josef Vagner, Nada Schneiderova „Lew nie jest królem zwierząt” Obzor Bratysława 1986. Państwowe Wydawnictwo „Wiedza Powszechna” Warszawa 1986. Nakład 30 tys. egz. Cena 1250 zł.

Opowieść o afrykańskiej sawannie, oazie ciszy i kojącej przyrody, jej mieszkańcach oraz niecodziennym pełnym przygód safari w Kenii, którego celem było zdobycie rzadkich okazów zwierząt dla czeskosłowackich ogrodów zoologicznych. Dopelnieniem wartkiej, żywej relacji o przebiegu i wielu kłopotach uczestników safari, są ciekawostki o Afrykańczykach, ich obyczajach, przesadach, życiu codziennym, a także o dostosowaniu się do trudnych dla Europejczyków, afrykańskich warunków. Ładne wydanie albumowe ilustrujące liczne kolorowe zdjęcia zwierząt i roślin sawanny.

Stefan Garczyński „Gafy — komizm mimowolny” Wydawnictwo „Alfa” Warszawa 1986. Wyd. I. Nakład 55 tys. egz. Cena 120 zł.

Popularyzator szeroko pojętej wiedzy psychologicznej w beletrystycznej, przystępnej i lekkiej formie („Potrzeby psychiczne, niedosyt, zapożyczenie”, „O radości”, „Sztuka myśli i słowa” itp.) zaprezentował tym razem niewielką objętościowo książkę o gafach, które reżyseruje samo życie. Okazuje się, że autor jest kolekcjonerem przykładów komizmu mimowolnego „figli okoliczności, fantastycznych knoń, głupoty”. Nasze gafy porządkuje Garczyński w rozdziałach takich jak: Litera, słowa, wyrażenia, Przeszyszenia, Dwuznaczności, Pomyłki, Inwencje i prawdy dzieci... Nie muszę chyba dodawać, że lekturze towarzyszą co rusz salwy śmiechu albo choć uśmiech.

Philip Roth „Kompleks Portnoya” Wydawnictwo Literackie Kraków — Wrocław 1986. Wydanie I. Nakład 50 tys. egz. Cena 320 zł.

Książka ta uchodzi za najbardziej kontrowersyjną z powieści autora, znanego polskim czytelnikom z opowiadań „Goodbye Columbus” i powieści „Gdy była porządna dziewczyna”. Wydaniu jej w 1967 r. w Stanach Zjednoczonych towarzyszyła atmosfera skandalu obyczajowego. Mimo iż powieść powstała w pełnym buntu i przewartościowań latach sześćdziesiątych, a Roth wykrystalizował modną w owych czasach formułę powieści psychoanalitycznej — a więc dotykającej już z założenia intymnej strony życia człowieka. „Kompleks” przyjęto krytycznie właśnie z powodu mocnych epizodów erotycznych, ale także za bezkompromisowe rozliczanie się bohatera z obyczajami i moralnością środowiska żydowskiego.

Bohater — czas trwania powieści dotyczy okresu od lat najmłodszych do dojrzałych — buntuje się przeciwko specyficznej atmosferze domu rodzinnego, etyce i zasadom wychowawczym. Ale nie potrafi zabić w sobie narzuconych przez dom norm co doprowadza go do ciężkiej nerwicy, poczucia winy, zanegowania wszelkich wartości. Ratunku szuka w psychoanalizie i właśnie spowiedź, monolog luźnych skojarzeń Portnoya stanowi treść książki.

(L.J.)

W DŁONI... W 70-LECIE PŁOMYKA

ZE „SZKARŁATNA RÓŻA”

Niewiele jest czasopism tak serdecznie i niezmiennie lubianych przez swych czytelników. Niewiele pismom udało się nawiązać z odbiorcami tak bliski i bezpośredni kontakt. „Płomyk” jest zresztą bliski nie tylko młodocianym czytelnikom. Wszyscy, niezależnie od wieku, znają go doskonale, jemu bowiem zawdzięczają niejednokrotnie pierwsze ważne lektury i wzruszenia.

I oto pismo zajmujące tak szczególne miejsce wśród kilkudziesięciu naszych ga-

zet i czasopism dla dzieci i młodzieży obchodzi 70-lecie swych urodzin — pierwszy numer „Płomyka” ukazał się bowiem z datą 1 stycznia 1917 roku. Niestety, nie zachował się żaden z owych pierwszych numerów (których nakład wynosił 200 egzemplarzy). I dopiero piąty numer czasopisma możemy oglądać w Muzeum Książki Dziecięcej w Warszawie, gdzie sąsiaduje z kompletem pierwszego w Polsce czasopisma dla najmłodszych — miesięcznikiem „Rozrywki dla dzieci”, wydawanym od 1824 roku przez Klementynę z Tańskich Hoffmannową.

Nie zachował się także ani jeden numer „Płomyka” z września 1939 roku, choć jest niemal pewne, że przynajmniej pierwszy numer, otwierający nowy rok szkolny, był już wydrukowany z końcem sierpnia.

Każda uroczystość urodzinowa skłania zawsze do wspomnień i refleksji. A cóż dopiero jubileusz czasopisma odgrywającego tak ogromną rolę edukacyjną, związanego tak silnie z naszą historią i tradycją, a z dziejami Związku Nauczycielstwa Polskiego — szczególnie!

Znany jest przecież powszechnie fakt, że „Płomyk” — podobnie zresztą jak „Płomyczek”, który przez pierwsze dziesięć lat ukazywał się jako zawarty w nim „Dodatek dla młodszej dziatwy” — wydawany był staraniem Wydziału Wydawniczego Związku Nauczycielstwa Polskiego (do 1932 roku — Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych).

Głośno było zwłaszcza o tzw. „radzieckim” numerze „Płomyka” z 2 marca 1936 roku, numerze, który został skonfiskowany i po którym rozpełniano wielką nagonkę na Związek Nauczycielstwa Polskiego, czego następstwem było wniesienie przez Prezydium ZG ZNP sprawy do sądu okręgowego w Warszawie o zniesławienie — przez „Ilustrowany Kurier Codzienny” — Związku Nauczycielstwa Polskiego i redakcji „Płomyka” (co „Głos Nauczycielski” dokładnie przypomina w nr. 9 z 1986 roku).

Od 1 stycznia 1917 roku
zacznie wychodzić w Warszawie pod redakcją
R. M. Brzezińskiej dawnej kierowniczkii „Rozrywek”
tygodnik dla dzieci i młodzieży p. t.:
„PŁOMYK”



Z pismem tym, które zdobyło sobie dużą popularność i wśród uczniów, i wśród nauczycieli, byli związani niemal zawsze wybitni pedagodzy i pisarze: Edward Szymański, Ewa Szemberg-Zarembina, Janina Porazińska, Wanda Wasilewska, Janina Broniewska... Przypomnijmy także nazwisko Józefa Włodarskiego — nauczyciela i działacza oświatowego, którego energii zawdzięczał „Płomyk” rozwój zaraz po pierwszej wojnie światowej i który był również duszą i sercem odradzającej się po drugiej wojnie „Naszej Księgarni”.

Dzisiejszy „Płomyk”, którym steruje Jan Stanisław Kopczewski, a którego Radzie Redakcyjnej przewodniczy Mikołaj Kozakiewicz, stara się sprostać swej bogatej historii i tradycji, jak najlepiej służyć potrzebom czytelników, aktywizować ich i włączać do współtworzenia czasopisma. Świadczyć o tym takie inicjatywy jak: „Klub Kształcącej Książki”, „Turnieje recenzentów”, „Rajd 40-lecia” przez 60 miejscowości kraju... Uwagi, pomysły, propozycje czytelników, których napływa sporo do redakcji, są przez nią zawsze skrupulatnie wykorzystywane.

Od wielu już lat „Płomyk” przyznaje — w imieniu swych czytelników „Szkarsłatną różę” — najbardziej lubianym i cenionym nauczycielom. Takim, którzy są zawsze pełni pomysłów i wnoszą do praktyki wychowawczej coś nowego, dzięki którym szkolne życie i nauka stają się czymś ciekawym i pociągającym, dzięki którym można je rzeczywiście polubić. Tym najsympatyczniejszym — obok Orderu Uśmiechu — odznaczeniem, wyrózniono już wielu pedagogów i wychowawców.

Tym razem „Głos Nauczycielski” — z najdorodniejszą „Szkarsłatną różą” w dłoni — składa „Płomikowi”, również w imieniu czytelników, serdeczne gratulacje i podziękowania. Za to, że przyzwyczajają młodych do kontaktu na co dzień ze słowem pisanym, że budzi zainteresowanie światem, przyrodą, ludźmi wokół nas. Za towarzyszenie nastolatkom w ich radościach, smutkach i problemach. Za ów serdeczny ton, jakim się zawsze charakteryzuje.

Oby był on zawsze obecny na łamach „Płomyka” — i rozświecał przez dalsze dziesiątki lat serca i umysły jego czytelników!

H. Wit.

Warszawa, 31 stycznia 1917 r. M. S.
PŁOMYK
TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

NASZA SZKÓŁKA.

Nasza szkoła od rana
W jasnym słonku skąpana,
I od kwiecia pachnąca,
I rozgwarem dzwoniąca,
Niby pszczelna pasieka.
Już paniusia nas czeka!
Kto chce użyć radości,
Niechaj zajdzie tu w gości
Spójrzeć, jeśli ochota,
Jak nam idzie robota.

Kasia pisze paleczki,
Krzywe? Ani troszeczkę!
Stoją, niby żołnierze,
Franka radość aż bierze.
On potrafi tak może,
Gdy języczkiem pomoże!
I tak biedak się troska,
Aż pot kapie mu z noska.
Po paleczkach — czytanie.
Spójrzcie teraz na Franę,
Jak paluszkami prowadzi,
By przeczytać miłgładzie.

RECENZJE

CO WIEMY O NASZYM ZAWODZIE?

Wiemy, jak wielkie znaczenie ma samowiedza zawodowa we wszelkich dziedzinach działalności ludzkiej, a zwłaszcza w pracy pedagogicznej nauczyciela, pracy tak wysoce samodzielnej i podmiotowej. Nie wiemy jednak skąd czerpać tę wiedzę, jakie źródła i wzorce byłyby w tym zakresie najpożyteczniejsze. I oto ukazała się książka Zbigniewa Zaborowskiego „Psychospołeczne problemy pracy nauczyciela” (WSiP, 1986), która może się okazać wielce przydatna.

Książka jest w całości poświęcona problematyce osobowościowych uwarunkowań efektywnej pracy nauczyciela. Przedmiotem jej są postawy pedagogiczne nauczycieli, związane z ich procesami poznawczymi i emocjonalnymi i wyrażające się w różnych rodzajach (modelach) interakcji z uczniami. Jest to kontynuacja wcześniejszych zainteresowań badawczych profesora Zaborowskiego, skupionych wokół psychospołecznych uwarunkowań procesu wychowawczego w szkole, ale tym razem jest ona w całości odniesiona do pedagogicznego credo osobowości i zachowania nauczyciela w jego stosunkach z uczniami. „Przeniesienie punktu ciężkości — pisze autor we wstępie — analiz na osobę nauczyciela, podyktowane jest coraz bardziej akcentowaną wężową i wiodącą rolą nauczyciela w procesie dydaktyczno-wychowawczym. Podkreśla się, że nie pomogą najlepsze programy, pomoce naukowe, środki dydaktyczne, jeśli nauczyciel nie stanowi bogatej, zdrowej psychicznie osobowości, jeśli nie przejawia postaw innowacyjnych, umiejętności komunikacji i wrażliwości społecznej”.

W książce podejmuje się jedną z najważniejszych spraw z zakresu „ideologii pedagogicznej”, a mianowicie osobowościowe uwarunkowania współdziałania nauczyciela z uczniami. „Praca nauczyciela przebiega na podłożu interakcji z klasą, jako grupą społeczną oraz z uczniami. Interakcje stwarza-

ją warunki do powstawania i funkcjonowania różnego typu stosunków z uczniami, na przykład przyjaznych, konfliktowych. Stosunki te odgrywają wężową rolę w procesie nauczania i wychowania, współdecydują o efektywności tych procesów. W wyniku określonych interakcji i stosunków tworzą różne modele równowagi interpersonalnej między nauczycielem a uczniami, mniej lub bardziej korzystne w procesie nauczania i wychowania”.

We współczesnej psychologii społecznej analiza interakcji uległa znacznemu pogłębieniu, a to głównie wskutek uwzględnienia w zachowaniach partnerów czynników poznawczych i percepcyjnych. „Partnerzy traktowani są jako osoby postrzegające się wzajemnie w określony sposób, tworzące poznawcze obrazy wzajemnych zachowań, cech osobowości, przyczyn wpływających na takie lub inne postępowanie. Percepcja odbywa się za pomocą określonych kategorii poznawczych i odnoszona jest do postaw jednostki (dotyczy emocji, potrzeb, oczekiwań, standardów). W wyniku percepcji pojawiają się procesy porównań wytwarzające określone uczucia i motywy”.

Autor ujmując interakcje nauczyciel — uczeń w sposób wielopoziomowy i prowadzi do uogólnionego wniosku, że powinna się wytworzyć między nimi konstruktywna równowaga interpersonalna. Jednym z wymiarów tej równowagi jest podmiotowe traktowanie przez nauczyciela uczniów i postawa zawodowa, w której zaznacza się komponent emocjonalny. Po prostu uczniowie rewanżują się nauczycielowi za taką postawę wobec nich. A więc jeśli nauczyciel lubi uczniów, i to zaznacza się w jego zachowaniu, to uczniowie odwzajemniają mu się, co stanowi niezmiennie istotny warunek powodzenia pedagogicznego.

Jeśli chodzi o poznawcze uwarunkowania pracy nauczyciela, to zdaniem autora szczególne znaczenie ma jego obraz własnej oso-

by i jego samowiedza. Obraz ten stanowi „ważną strukturę regulującą i modyfikującą ludzkie zachowanie. Na obraz własnej osoby składają się zgeneralizowane sądy, informacje i postawy związane z własną osobą, niezależnie od pełnionych ról i samoocena ogólna i cząstkowa nauczyciela, na przykład w zakresie umiejętności wychowawczych, oraz samoakceptacja i poczucie własnej tożsamości. W obrazie własnej osoby nauczyciela wyobraznić można struktury i mechanizmy ogólne niespecyficzne i specyficzne. Pierwsze dotyczą jego osoby, niezależnie od pełnionych ról i rodzaju wykonywanych czynności, drugie łączą się ściśle z pełnionymi rolami oraz z działalnością dydaktyczno-wychowawczą. Struktury te i mechanizmy są w książce przedstawione w sposób wnikliwy i na poziomie aktualnej wiedzy psychologicznej.

Autor konstruuje własną teorię rozwoju zawodowego nauczyciela, w którym wyróżnia cztery etapy, ściśle ze sobą powiązane i współwystępujące: „1) etap wzorców metodycznych, 2) etap krytycznej refleksji, 3) etap samokontroli, 4) etap twórczy” (...). „Nauczyciel o pogłębionej samowiedzy i samokontroli, dysponujący solidną wiedzą rzeczową i metodyczną konstruuje hipotezy dotyczące podnoszenia efektywności procesu dydaktyczno-wychowawczego, na przykład na temat związku między określonymi metodami, sposobami uczenia a rozwojem poznawczym, moralnym, społecznym ucznia, albo przewiduje, że połączenie aktywnego nabywania wiedzy rzeczowej z emocjonalnym jej przeżywaniem da lepsze wyniki nauczania i wychowania. (...) Nauczyciel twórczy przejawia na ogół zainteresowania naukowe; czyta książki pedagogiczne, psychologiczne; czasopisma fachowe. Wykazuje on postawę krytyczną, cechuje go samodzielność myślenia, silna motywacja i identyfikacja z zawodem pedagogicznym”.

Zarysowana w książce koncepcja rozwoju

ju zawodowego nauczyciela zawiera wiele ważnych rozwiązań, które można zastosować w trakcie doboru treści, metod i organizacji całego procesu indywidualnego i zespołowego doskonalenia kwalifikacji i pracy nauczycieli.

Książka składa się z trzech części: w pierwszej scharakteryzowane są najważniejsze czynniki i mechanizmy osobowościowe, występujące w toku nauczania i wychowania, w drugiej — relacje nauczyciela z klasą, jego interakcje i stosunki interpersonalne z uczniami, w trzeciej — wyniki własnych badań empirycznych nad psychospołecznymi uwarunkowaniami efektywnej pracy nauczycieli. W tej ostatniej części szczególnie interesujące wydają się refleksje nad różnymi wzorcami i metodologicznymi przesłankami w badaniach pedeutologicznych oraz własna koncepcja badań. Charakteryzuje się ona wyraźnym prymatem problematyki psychospołecznej i osobowościowej nauczyciela nad jego ujęciami tzw. normatywnymi i pragmatycznymi, które dominowały w okresie traktowania nauczyciela jako „szeregowego pracownika oświaty”. Jest to powrót do tradycyjnej, ale zarazem właściwej i nader znaczącej problematyki pedeutologicznej, w której nauczyciela i ucznia traktuje się w sposób podmiotowy.

Praca jest interesująca również z innego punktu widzenia, bo oto okazuje się, że autor, który w początku lat pięćdziesiątych rozpoczął karierę naukową w ówczesnym Instytucie Pedagogiki właśnie od pedeutologii, wrócił teraz do niej po latach i wniósł ważne elementy wiedzy o osobowości i efektywnej pracy nauczyciela. Jego nowa książka reprezentuje w naszej rodzimnej literaturze pedeutologicznej próbę nowoczesnego ujęcia procesu oddziaływań nauczyciela na uczniów i jest interesującą propozycją poznawania psychospołecznych uwarunkowań efektywnej pracy pedagogicznej nauczyciela. Książka może się okazać wielce przydatna w pogłębieniu samowiedzy pedagogicznej nauczycieli.

TADEUSZ MALINOWSKI

GŁOS NAUCZYCIELSKI 9

WYSOKOŚĆ ZASIŁKÓW WYCHOWAWCZYCH OD 1 STYCZNIA 1987 R.

Jak nas poinformowano w ZUS-ie, od 1 stycznia 1987 r. zostało zmienione rozporządzenie Rady Ministrów w sprawie urlopów wychowawczych (Dz. U. nr 3 z 1987 r.).

Od tej daty zasiłek wychowawczy przysługujący w okresie urlopu wychowawczego, w zależności od dochodu przypadającego na osobę w rodzinie pracownicy, obliczany jest kwotowo i wynosi miesięcznie:

- 5.400 zł, jeżeli dochód nie przekracza 2.400 zł;
- 4.050 zł, jeżeli dochód przekracza 2.400 zł, lecz nie przekracza 3.000 zł;
- 2.950 zł, jeśli dochód przekracza 3.000 zł, lecz nie przekracza 3.600 zł.

Jeżeli dochód przekracza 3.600 zł, zasiłek wychowawczy nie przysługuje. Dla osób samotnie wychowujących dzieci kwoty, o których mowa wyżej, zwiększa się o 100 proc. i o dodatkową kwotę 450 zł. (Kwoty zasiłków obejmują rekompensaty określone w uchwale nr 187 Rady Ministrów z 26 sierpnia 1981 roku i w uchwale nr 24 Rady Ministrów z 27 stycznia 1982 r.).

OSIĄGANE WYNAGRODZENIE PRZESZŁOŚCI (RENCISTE) W ZAWODZIE DEFICYTOWYM

Odszedłem na emeryturę z dniem 31 sierpnia 1986 r. Dowiedziałem się z nr 49 „Głosu”, że zawód nauczycielski został uznany za deficytowy i nie obowiązuje nas limit wynagrodzenia za pracę w zakładzie uspołecznionym. W ZUS-ie oświadczone mi jednak, że dotyczy to tylko emerytów, którzy odeszli na emeryturę wcześniej. Co to znaczy? (Stały Czytelnik z Łodzi)

Jak informowaliśmy w „Głosie” (nr 49 z 1986 r.) zawód nauczycielski został uznany za deficytowy. Zgodnie z zarządzeniem ministra pracy, plac i spraw socjalnych z 17 września 1986 r. — w sprawie określenia zawodów deficytowych — znalazł się on w wykazie zawodów deficytowych nierobotniczych (w punkcie 4 załącznika do zarządzenia), z wyjątkiem województwa białostockiego (Mon. Pol. nr 29 z 1986 r.). Oznacza to, że nauczyciel emeryt lub rencista otrzymujący świadczenie przyznane mu na wniosek złożony przed 1 stycznia 1986 r. — może osiągać wynagrodzenie za pracę w niepełnym wymiarze czasu pracy (i w zakładzie uspołecznionym) bez ograniczania kwoty (168 tys. zł) — nie ryzykując zawiesze-

nia prawa do emerytury (renty) ani zmniejszenia wysokości tych świadczeń (art. 14 ust. 1 i 3 rozporządzenia Rady Ministrów z 6 marca 1986 r. — Dz. U. nr 9 z 1986 r.).

EKWIWALENT Z TYTUŁU ZRZECZENIA SIĘ PRAWA DO BEZPŁATNEGO MIESZKANIA

Przez wiele lat mieszkaliśmy w małym pokoju z dwójką dzieci i mężem. Dzięki naszej pracowitości i pomocy krewnych wybudowaliśmy sobie domek jednorodzinny, w którym mieszkamy 10 lat. Na budowę otrzymaliśmy z Banku Inwestycyjnego kredyt 100 tys. zł. Na spłacenie tego kredytu otrzymywałem ekwiwalent w wysokości 400 zł miesięcznie. W tym roku szkolnym otrzymałem nagrodę kuratora I stopnia i zaraz ją przeznaczyłem na spłacenie reszty kredytu. Po zapłaceniu chciałem poczynić starania o dodatek mieszkaniowy. O wszystkich moich zamierzeniach informowałem administrację, która nie była przeciwna moim zamierzeniom. Miesiąc temu nasza szkoła była wizytowana przez Kuratorium Oświaty i Wychowania w Poznaniu. Wtedy dopiero dowiedziałem się od wizytującego, że spłacając kredyt utraciłem prawo do ekwiwalentu i również do dodatku mieszkaniowego. Czuję się bardzo skrzywdzony, ponieważ nie korzystam z mieszkania służbowego i nie otrzymuję ani grosza. Inni nauczyciele, którzy nie korzystają z mieszkania służbowego, otrzymują dodatek mieszkaniowy od 800 do 2.500 zł. Koleżanki mieszkające w Domu Nauczyciela dostały mieszkanie za darmo. Ja musiałem się wyrzec wielu rzeczy (na przykład nigdy jeszcze nie byłem na wczasach), aby móc wybudować dom. (Janina Zawadzka Czerwieńskowa).

Piszę ten list w wielkim rozgniewaniu i to w pierwszych dniach nowego roku, a to dlatego, że znowu podniesiono dodatki mieszkaniowe, a ci gorliwcy, którzy wyrzekali się wszystkiego, by wybudować własny dom, a zajmowane mieszkanie zwrócili dla innych, zostali wystawieni do wiatru i są przedmiotem kpin. Nie wiem dlaczego zostali pokrzywdzeni i ukarani, czy za ciężką pracę? Czy za to, że rzekli się prawa do mieszkania, a nie przewidywali, że ktoś tam w górze wpadnie na taki mądry pomysł, a przecież za wynajmowane mieszkania płaci się tysiące.

Obecnie, kiedy brakuje tytułu mieszkańca, to każdy przejaw chęci budowy powinien być witany z radością, a tych, którzy to już zrobili też jakoś inaczej potraktować, a nie rzucić 300—

400 zł jak na cukierki. Kiedy własny dom to worek bez dna, a szczególnie te budowane 15 lat temu, które już potrzebują remontu.

Nie mogę (i inni również) zrozumieć, jaka i w czym jest różnica między tym, który sam budował, brał pożyczkę i ją spłaca (przy czym nakładał się i stracił wiele zdrowia i nerwów), a tym, który mieszka w domu rodziców lub od nich dostał, przy czym rodzice też brali pożyczkę i aktualnie ją spłacają. Czy tymi, którzy obecnie budują, biorą pożyczki i też będą spłacać, a jeszcze tymi, którzy mieszkają na przykład w mieszkaniu służbowym męża, za które płać grosze, a mając 4-osobową rodzinę biorą 2.000 zł. Czy to nie śmieszne?

W czasie rozmów z wieloma nauczycielami „starymi właścicielami domów” dochodzi do takich retorycznych pytań, na które nie umiemy odpowiedzieć.

Proszę uprzejmie dać odpowiedź na postawione pytania w „Głosie Nauczycielskim” w rubryce „Pytaj — odpowiemy”, bo jest to sprawa interesująca wielu nauczycieli (K. Wolak)

Otrzymujemy wiele listów tej treści. Poddajemy je pod uwagę resortowi oświaty i wychowania, a także ZG ZNP. Aktualny stan prawny wyklucza możliwości otrzymywania tego dodatku przez tę grupę nauczycieli, albowiem zgodnie z par. 5 zarządzenia ministra oświaty i wychowania z 30 czerwca 1982 r. — w sprawie dodatku mieszkaniowego — nauczycielom, którzy wybudowali dom przy pomocy kredytu bankowego i w okresie spłaty tego kredytu pobierali lub nadal pobierają ekwiwalent pieniężny z tytułu zrzeczenia się prawa do bezpłatnego mieszkania na mocy postanowienia uchwały nr 72 Rady Ministrów z 1968 r. — dodatek mieszkaniowy nie przysługuje.

EKWIWALENT ZA UMUNDUROWANIE WOŹNEGO

Dyrektor nie może zdobyć dla mnie umundurowania. Trwa to już kilka miesięcy. Czy w takiej sytuacji może mi wypłacić ekwiwalent? (Jerzy S — woj. wrocławskie).

Woźni szkolni nabywają prawo do umundurowania z dniem zawarcia umowy o pracę na czas nieokreślony. Obowiązek dostarczenia tego ekwipunku spoczywa na dyrektorzce szkoły. Wykaz przedmiotów umundurowania określa tabela załączona do zarządzenia ministra oświaty i wychowania z 15 września 1986 r. — w sprawie dodatkowych świadczeń i uprawnień pracowników ekonomicznych, administracyjnych i obsługi szkoły.

Okres używalności umundurowania (lub poszczególnych jego części) liczy się od dnia faktycznego wydania rzeczy. Po upływie okresu używalności (także określonego w tabeli, o której wyżej) — przechodzi ona na własność pracownika.

Przysługuje ono także woźnemu szkolnemu zatrudnionemu w niepełnym wymiarze czasu pracy. (Wówczas okres używalności umundurowania odpowiednio się przedłuża).

Woźni otrzymują umundurowanie za zwrotem 25 proc. kosztów jego zakupu. Na wniosek zainteresowanego spona tej należności może być rozłożona na raty, na okres nie przekraczający 12 miesięcy.

W zamian za umundurowanie przysługuje ekwiwalent pieniężny, w sytuacjach określonych przez zarządzenie. A więc w razie, gdy nie przydzielono woźnemu umundurowania, bądź otrzymał go w terminie późniejszym niż termin nabycia prawa do tego świadczenia lub za zgodą szkoły użytkował umundurowanie dłużej, niż wynika to z tabeli określającej okres używalności.

Ekwiwalent stanowi wartość umundurowania za okres, za który przysługuje, po odliczeniu 25 proc. kosztów jego zakupu. Jest on wypłacany za pełne miesiące.

W razie przejścia woźnego do innej szkoły na mocy porozumienia stron — przed upływem okresu używalności umundurowania — prawo do umundurowania w nowym miejscu pracy powstaje dopiero po upływie okresu jego używalności w poprzedniej szkole.

W razie rozwiązania umowy o pracę przed upływem okresu używalności, jeżeli rozwiązanie stosunku pracy nastąpiło za wypowiedzeniem woźnego, lub z jego winy bez wypowiedzenia — umundurowanie przechodzi na własność pracownika za zwrotem wartości munduru, obliczonej za okres od dnia zaprzestania pracy do końca okresu używalności (minus te 25 proc.).

Umundurowanie przechodzi na własność, bez obowiązku zwrotu wartości w razie przejścia na emeryturę lub rentę oraz gdy upłynęło już 75 proc. okresu używalności.

W razie zaginięcia lub zniszczenia całości (części) umundurowania woźny otrzymuje nowy mundur — bezpłatnie, czyli bez obowiązku zapłacenia 25 proc. kosztów zakupu — jeżeli utrata nastąpiła bez jego winy. W innym wypadku — otrzymuje nowe umundurowanie płać 25 proc. plus koszty utraczonego umundurowania, liczone za okres od utraty do końca używalności.

Koszty prania i naprawy munduru — o co bardzo często pytają czytelnicy — ponosi woźny.

PIJE KUBA...

Pijemy przy każdej okazji — od chrztu do pogrzebu. Z radości i rozpacz, dla animuszu i zapomnienia, dla pokrzepienia sił, dla zdrowia. Przy imieninowym, suto zastawionym stole odmówić kieliszka nie wypada; bo straci się sympatię biesiadników. Przyznaję się do abstynencji budzi pogardę, czasem współczucie, toteż mniej odporni ukrywają swoje towarzyskie „kaleństwo” i odmowę picia tłumaczą zwykle braniem antybiotyku. Czasem to skutkuje. Niestety, rzadko.

Alkohol w powszechnym odczuciu, uważa się za napój pożyteczny dla zdrowia. Znasz, piti w małych ilościach. Tak sądzi większość tzw. normalnych ludzi, to znaczy nie uzależnionych od alkoholu.

Picie to obyczaj uświęcony tradycją. Starożytni piwo i miód uważali za dary bogów służące ludziom do topienia trosk i pobudzania radości. Do przekonania o zbawczej roli alkoholu w walce z troskami pozostało do dziś, tyle że bardziej w Polsce niż Grecji czy Egipcie, skąd bierze swój rodowód. W średniowieczu uzyskiwany z wina wyższy koncentrat alkoholu zyskał nazwę „wody życia”, uważanej za lek przeciw tzw. morowej zarazie.

Wiata w alkohol, jako lek i środek dobry na wszystko, przetrwała do dziś. Uważa się, że alkohol usuwa zmęczenie, rozgrzewa, daje siłę, pobudza apetyt i chroni przed chorobami. Nic nie dają wyniki badań lekarskich, otrzymanie przychodzi na ogół wówczas, kiedy jest już za późno, kiedy uzależnienie organizmu od alkoholu jest tak duże, iż pić się musi.

W 1985 roku na zakup alkoholu wydaliśmy 733 miliony złotych. Czyli każdy statystyczny Polak wydał na alkohol 19 710 zł. Jeśli odliczyć noworodki i dzieci — no, powiedzmy do 16 lat, będzie to suma więcej niż o jedną trzecią wyższa.

Zastraszająca jest struktura picia napojów alkoholowych. W roku 1985 statystyczny Polak wypił 11,6 litra wódki 40-procentowej (o 1 litr więcej niż w poprzednim roku), 7,9 litra wi-

na oraz 29,5 litra piwa. A więc wyraźnie spada spożycie wina na korzyść wódki.

Wskazniki powyższe ukazują dane z legalnej sprzedaży alkoholu. A to tylko część tego, co pije się faktycznie. Dane dotyczące nielegalnego spożycia napojów alkoholowych w 1982 roku określono na 30—50 proc. spożycia rejestrowanego. W rok później ten poziom ustalono na 15—22 proc., ale w 1985 roku — na 35—40 proc. Wlicza się w to zarówno produkowany nielegalnie bimber, jak też alkohol kradziony w toku produkcji czy transportu.

Gros w tym stanowi bimber, szczególnie szkodliwy dla zdrowia, bo zanieczyszczony. W okresie reglamentacji alkoholu działało w kraju co najmniej 75 tys. nielegalnych gorzelni, ale mogło ich być 150 tys. Dziś po zniesieniu reglamentacji i wzmoczeniu kontroli liczba ta spada znacząco, trudno jednak określić rozmiary produkcji. Rozwinęło się bowiem bimbrownictwo zorientowane na zaspokojenie własnych potrzeb, a wśród bimbrowników jest znaczna liczba ludzi młodych. W tej cichej, domowej produkcji uczestniczą dzieci, które ten rodzaj „przetworów” domowej kuchni uważają za normalny, równy z przetworami owoców na soki, konfitury itp.

Alkohol piti w nadmiarze szkodzi nie tylko zdrowiu, zagraża też morale. Jest źródłem popełnianych przestępstw. W woj. leszczyńskim np. popełniono ich w 1985 roku — 4174 i miały one ścisły związek ze wzrostem spożycia alkoholu. To samo w woj. lubelskim. Jeszcze wyraźniej widać to w kronikach milicyjnych. Wypadki drogowe, w których giną ludzie, bójki i pobicia, rozboje, kradzieże i gwałty, podpalenia — wszędzie większość osób działała pod wpływem alkoholu. Wśród znaczących się nad rodziną nietrzeźwił stanowią aż 34,8 proc. (dane z woj. leszczyńskiego).

Pije się również w pracy, choć ustawa z 1983 roku wyraźnie wpłynęła na zmniejszenie tego zjawiska. W dalszym ciągu jednak wiele osób przychodzi do pracy w stanie nietrzeźwości lub pije alkohol w przerwach. A dzieje się tak m.in. dlatego, iż kary z powodu picia lub przyniesienia do zakładu pracy alkoholu są zenująco niskie; upominanie, nagana, obniżanie premii — to najczęściej stosowane środki. Zwolnienia z pracy zdarzają się rzadko.

Od alkoholu nie stronią młodzi. Z kronik sądowych wynika, że aż 17 proc. nieletnich, którzy pozostają w kolizji z prawem, pije alkohol systematycznie. Naukowcy nie są skłonni do przesady. Toteż skóra cierpi, gdy czyta się w prognozie PAN, że „za sto lat, albo trochę więcej znajdzie się w encyklopediach wzmianka: Polacy — byli to naród, który popełnił samobójstwo, str-

cił naturalny instynkt życia, rozpił się”.

Jak temu przeciwdziałać? Oto pytanie, które zadajemy sobie od lat i które jakby wciąż pozostaje bez odpowiedzi. Wielu uważa, że należy zaostrzyć system kar, do czego upoważnia zresztą ustawa o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi z 1983 roku. Zaostrzono rygory, sygnalizacja kary — a spożycie alkoholu wzrasta.

A dzieje się tak dlatego, że jakkolwiek nietrzeźwość się karze, to przecież tak naprawdę w trzeźwości się nie wychowuje. Wbrew temu, co w tytule ustawy. Nie robi tego dom, lub robi tylko w małym stopniu, skoro dzieci są świadkami i uczestnikami zakrapianych alkoholem uroczystości rodzinnych. Służba zdrowia leczą uzależnionych, ale niewiele czyni dla profilaktyki, za mało ostrzeża przed groźbą spożywania alkoholu, nie dostarcza wiedzy odstraszejacej od picia, nie zwalcza zakodowanego w środowisku społecznego przeświadczenia, że alkohol leczy.

Całkiem na bakier z wychowaniem w trzeźwości jest gastronomia. W lokalu — dniem czy nocą — pić nie tylko wypada, ale trzeba. Spróbujcie usiąść za stołkiem i zamówić wodę mineralną — a będziecie do końca traktowani jak intruz. Jeśli weźmiecie lampkę wina — nie oczyszcza to was z hańby w oczach personelu. Tutaj trzeba pić i to dużo.

Dla trzeźwości nie wychowuje także szkoła. Wyprawdzie nauczyciele nie należą do grup zawodowych nadużywających alkoholu, przeciwnie, można tu mówić o powściągliwości, ale to nie wystarczy. Generalnie rzecz biorąc, szkoła wychowanie antyalkoholowe traktuje jako narzucony jej z zewnątrz obowiązek, coś niechcianego, co trzeba „odfajkować”. Wychowanie przeciwalkoholowe, to akcja, w której od czasu do czasu bierze się udział, a nie systematyczna działalność wychowawcza. To najczęściej gadanie, a nie wiedza i uczenie nawyków. Nic dziwnego, że np. w Lesznie tamtejszy Klub Profilaktyki Społecznej „Profil” prosi kuratorium o włączenie się do akcji oświadczenia młodzieży i rodziców, choć to właśnie władze oświatowe powinny być prekursorem wychowania dla trzeźwości.

Nic dziwnego, że oceniając ustawę z 1983 roku pod kątem jej skuteczności — m.in. w Sejmie, w Radzie Społeczno-Gos-

podarczej — są pełni niepokoju. Ustawa nie spełnia, jak dotychczas, oczekiwań projektodawców i oczekiwań społecznych. A nie spełnia — moim zdaniem — dlatego, że realizuje się ją dotychczas połowicznie. To znaczy walczą ze skutkami alkoholowego rozpicia (bo nie tylko alkoholizm), a zapominają o źródłach. Mówiąc wyraźniej — nie ma profilaktyki, w której gros miejsca i czasu poświęcać należy temu, co w tytule ustawy — wychowaniu w trzeźwości.

Bo nie wystarczy tylko odstraszać od picia — to da niewiele. Naiwni wierzą w windowanie cen, ale to tylko pomniejszy budżety rodzinne.

Trzeba więc wychowywać. W tym programie, odnoszonym głównie do młodzieży, należy także uczyć spożywania alkoholu. Czyli kultury picia. Szkoła może tu odegrać ogromną rolę, naturalnie, w ścisłym współdziałaniu ze służbą zdrowia, rodziną, zakładami pracy.

Alkohol w tym programie pomysłować o zmianach w produkcji napojów alkoholowych — o zwiększeniu asortymentu win i to dobrych win, które mogłyby wypierać alkoholowe wysokoprocentowe. Nie wystarczy obłożenie półek sklepowych „jabłkiem”, który od picia odstrasza.

Należałoby też przestawić na inne tory gastronomię w taki sposób, aby te lokale uczyły kultury picia, aby przestały być miejscem „zalewania robaka”. Można zacząć od stworzenia kilku takich lokali, w których picie na umór jest niemiłe widziane, nieprzezwolone. Alkohol trzeba najpierw odfajkować, aby w odczuciu społecznym przestał być dobry na wszystko.

Na froncie walki z tym społecznie szkodliwym zjawiskiem pozostaje niezmienne Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy. Robi naprawdę dużo, że wspomnę choćby o najnowszej inicjatywie — tworzeniu Klubów Profilaktyki Społecznej. Przez wielu komitet traktowany jest jak instytucja, odpowiedzialna za stan walki z alkoholizmem. Wszyscy inni czują się od tego zwolnieni, to nie ich rewir. A powinno być akurat odwrotnie. Z tą plagą społeczną muszą walczyć wszyscy. I muszą znaleźć się na to pieniądze. Może na początek czerpać je ze sprzedaży alkoholu, choć przynajmniej, jest to propozycja przewrotna.

MARIA POPOWICZ

SZACH KRÓLOWI

REDAGUJE: BOGDAN KUSIŃSKI

II Mistrzostwa Polski Nauczycieli w rozwiązywaniu zadań szachowych

— Po sześciu zadaniach bez straty punktu prowadzą: A. Baranowski, J. Mioduszecki, St. Padula, R. Proba, J. Strzykowski, St. Świerczyński i A. Waniński.

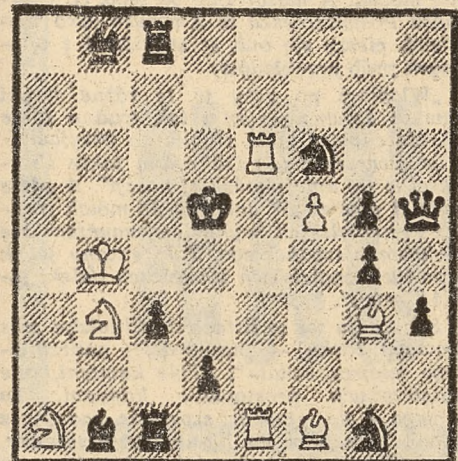
Zgodnie z regulaminem wylosowano 2 nagrody książkowe (przynajmniej po jednej serii 5 zadań).

Szczęśliwymi zdobywcami nagród okazali się kol. Adam Baranowski z Tarnobrzegu i kol. Jarosław Mioduszecki z Zabudowa. Książki wydane pocztą.

Wszystkim uczestnikom, którzy przystąpił do rozwiązywania zadania nr 3 bez wariantu 1...e5 lub stwierdził nierozwiązalność tego zadania z powodu 1...e5, zostały zaliczone punkty.

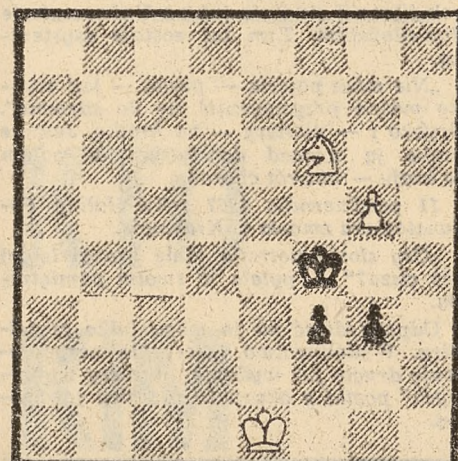
Dzisiaj przedstawiamy kolejną serię zadań mistrzowskich.

Zadanie nr 13 (13 pkt)



Mat w pięciu posunięciach
Białe: Kd4, Wd4, Wf6, Sd3, Gf1, Gg3, H3.
Czarne: Kd5, Hh3, Wc4, Wc8, Gb1, Gb5, Sf6.
Sg1, c3, d2, g4, g5, h3.

Zadanie nr 14 (18 pkt)



Białe zaczynają i wygrywają
Białe: Ke1, Sf6, g5.
Czarne: Kf4, f3, g3.
Rozwiązania zadań należy nadsyłać w terminie 15-dniowym pod adresem redakcji.

KRONIKA
W dniach 12-13 XII 1988 r. odbył się w Nisku czwórmecz szachowy makroregionu rzeszowskiego.

akiego, zorganizowany przez Ośrodek Usług Pedagogicznych i Socjalnych w Rzeszowie.

W czwórmeczu wzięły udział 8-osobowe reprezentacje trzech wojewódzkich klubów Nauczycielskich (z Tarnobrzegu, Krośna i Przemyśla) oraz nauczycielska reprezentacja z Rzeszowa.

Uroczyste otwarcie turnieju dokonał dyrektor Domu Nauczycieli w Nisku, kol. Ignacy Michałkiewicz witał graczy zawodników i przybyłych gości w osobach prezesa Centralnego Klubu Szachowego ZNP — niżej podpisanego, przedstawicieli Zakładu Usług Socjalnych resortu oświaty i wychowania, kol. Marka Paszuka, dyrektora OUPIS w Rzeszowie i kol. Władysława Zielińskiego oraz głównego organizatora tej pięknej imprezy kol. Krzysztofa Filipa — wiceprezesa Centralnego Klubu Szachowego ZNP.

Po siedmiu bojach zwycięską drużyną okazała się reprezentacja Rzeszowa, która zgromadziła 12 pkt wyprzedzając Przemyśl (8 pkt) Tarnobrzeg (6 pkt) i Krośno (4 pkt).

Na poszczególnych szachownicach najlepsze wyniki indywidualne uzyskali: na pierwszej — Kazimierz Krzyżak (Przemyśl) 3 pkt., na drugiej — kol. Bogdan Zerek (Rzeszów) 3 pkt., na trzeciej — kol. Tadeusz Gardziel (Rzeszów) 3 pkt., na czwartej — kol. kol. Ryszard Kumiak, Edward Kopeć i Jerzy Jabłoński po 3 pkt., na piątej — kol. kol. Władysław Trybowski i Stanisław Balaban po 2 pkt.

Po turnieju drużynowym rozegrano również turniej byskawiczny z udziałem 14 zawodników. Zacięta i emocjonująca walka o zwycięstwo toczyła się od pierwszej do ostatniej rundy. Zastępstwo pierwsze miejsce zdobył kol. Władysław Szajna (Rzeszów) 18,5 pkt. wyprzedzając Bogdana Zerkę (Rzeszów) 12 pkt., Kazimierza Krzyżaka (Przemyśl) 10 pkt., Zbigniewa Sawkę (Krośno) 9 pkt., Jerzego Jabłońskiego (Rzeszów) 8 pkt. i Władysława Trybowskiego (Tarnobrzeg) 7 pkt.

Na zakończenie zawodów zostały wręczone dyplomy za turniej drużynowy, nagrody wszystkim zawodnikom w postaci bonów PKO w wysokości zależnej od zajętego miejsca oraz 3 nagród za turniej byskawiczny. Nagrody zostały ufundowane przez OUPIS Rzeszów. Dziękując Ośrodkowi Usług Pedagogicznych i Socjalnych w Rzeszowie i jego działaczom za cenną inicjatywę i piękna masową imprezę, spekulując do wojewódzkich klubów Nauczycielskich i szachowych dystryktów nauczycielskich z innych regionów Polski o organizowanie podobnych zawodów, na które w naszym środowisku nauczycielskim jest autentyczne zapotrzebowanie. (B.K.)

NOWOŚCI NADEŚLANE

LITERATURA PIĘKNA
Praca zbiorowa: BRATANKOWIE W KRZYWYM ZWIERCIADLE. LSW Warszawa 1986, s. 284, cena 260 zł.
Tadeusz Głogier: WAWÓZ W REZEBURU. Wyd. Łódzkie, Łódź 1988, s. 176, cena 80 zł.
Karol Bunsch: WYWOŁANCY. WL Kraków 1986, s. 294, cena 480 zł.
Jerzy Jesionowski: RAPORT Z PLANETY SOL-3. WL Kraków 1988, s. 155, cena 180 zł.
Klaus Mann: BRZUCHOMÓWCA. WL Kraków 1988, s. 240, cena 250 zł.
Roman Gajda: LUDZIE ERY ATOMOWEJ. Wyd. Łódzkie, Łódź 1986, s. 258, cena 400 zł.
Barbara Krcos: KRAJOBRAZ POTĘŻY POLSKIEJ. Antologia WSP, Warszawa 1986, s. 374, cena 250 zł.
Ignacy Krasicki: MYSEIDOS. Ossolineum Wrocław 1988, s. 77, cena 40 zł.
Jan Dzwiedz: TWARZ LODOWCA. Wyd. Łódzkie, Łódź 1988, s. 239, cena 350 zł.
Longin Jan Okoń: PŁONĄCA PRERIA. Wyd. Lubelskie, Lublin 1986, s. 278, cena 250 zł.
Wanda Marcowska: JESTEM JEDYNĄ GODZINĄ. Wyd. Łódzkie, Łódź 1988, s. 302, cena 90 zł.
Zdzisław Skroki: WYJŚCIE Z KAMIENNEGO ŚWIATA. LSW, Warszawa 1988, s. 220, cena 220 zł.
Jan Szadymper: NIE TYLKO „PROKUR” FRASZKI, WIERZSZY, BAJKI. Wyd. Łódzkie, Łódź 1986, s. 519, cena 450 zł.
HISTORIA. KULTURA
Praca zbiorowa: PROBLEMY WIEDZY O

IMPREZY NA 102!

W styczniu br. Okręgowa Rada Kultury Fizycznej i Turystyki, OUPIS ZNP oraz Zarząd Oddziału ZNP w Wejherowie i Oddział ZNP w Kartuzach byli organizatorami III Zimowego Zlotu Turystycznego ZNP w Żalakowie k. Sierakowic.

W trzydniowym zlocie wzięło udział 450 członków ZNP z rodzinami. Zimowym szaleństwem nie było końca. Największą popularnością cieszyły się kufki oraz zgadywanka terenowa dla dorosłych i dzieci.

Sensacje wzbudziły pracujące przez kilkanaście godzin dziennie 3 komputery, z których korzystały „tylko dzieci”.

Dwa karnawałowe bale przygotowane z szyszkami, z masą konkursów, mogły zastąpić niejedną sylwestrową bal.

Inne zabawy to tradycyjne ognisko z pieczeniem kiełbasek (przy -25 st. C), gry zimowe — saneczkowanie, narty, piłka nożna na śniegu, strzelanie. Był też ping-pong i rzuty łotkami do celu. Były także pamiątkowe zdjęcia, które uczestnicy otrzymali w dniu wyjazdu.

Wszystkie dzieci otrzymały upominki i słodycze. Każdy uczestnik plakietkę, zwycięzcy dyplomy, a rodzina dyplom specjalny.

Chciałbym za wzorową organizację imprezy podziękować uczestnikom, bezpośrednim organizatorom-komendantom zlotu kol. Piotrowi Lenzowi i Krystynie Plichta, Maciejowi Kanteckiemu i całej grupie osób, przewożącym konkurencjom i zabawom — kol. Andrzejowi Boguszowi i jego zespołowi za niezapomniane

KULTURZE. Prace dedykowane Stefanowi Żółkiewskiemu. Ossolineum Wrocław 1986, s. 506, cena 1100 zł.
Władysław A. Serzycki: NA DALEKIEJ UKRAJINIE DZIEJE KOZACZYŃNY DO 1648 ROKU. WL, Kraków 1986, s. 370, cena 490 zł.
Praca zbiorowa: Z DZIEJÓW DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ. WSP, Warszawa 1986, s. 510, cena 300 zł.

PSYCHOLOGIA
Zbigniew Pietrasinski: SAM SIEGNĄ DO PSYCHOLOGII. WSP, Warszawa 1986, s. 194, cena 180 zł.
Stanisław Stankowski: NAUCZANIE JEZYKA ROSYJSKIEGO. A JEZYKOZNAWSTWO I PSYCHOLOGIA. WSP, Warszawa 1986, s. 380, cena 310 zł.

BIOGRAFIE
Karol Czejarek: ANNA SEGHERS. Wyd. Poznańskie, Poznań 1986, s. 116, cena 100 zł.
Roman Szewcowski: BRECHT. LSW Warszawa 1986, s. 367, cena 600 zł.

OGŁOSZENIA DROBNE

Magister filologii polskiej z kilkuletnim stażem pracy podejmie pracę w szkole od 1 września 1987 r. Warunek: mieszkanie rodzinne. Oferty: Violetta Szary, Bodzynie 32, 63-140 Dolsk. 87

Nauczycielka-polonistka, wyższe wykształcenie, dwuletni staż, podejmie pracę od 1.09.1987 r. Warunek: mieszkanie z wygodami. Oferty kierować: Krystyna Wzorek, 33-156 Skrzyszów 3, woj. tarnowski. 86

Nauczycielka, mgr filologii polskiej, staż pracy 3 lata, podejmie pracę od września. Warunek: mieszkanie rodzinne. Oferty: Ewa Szlesińska, ul. Poniatowskiego 24, 21-110 Ostrów Lubelski, telefon — 116. 84

Tarce szkolne. Tworzywo na materiały. Ceny przystępne. Zakład Rzemieślniczy, Wiśniewski, Łódź, ul. Doły 8. 85

Sztandary wykonuje wyspecjalizowana pracownia „Haft Artystyczny” — mgr inż. Henryk Kledziak, ul. Kościuszki 76 m. 4, 61-892 Poznań, tel. 502-14. 885

Zegary szkolne sygnalizacyjne wykonuje zegarmistrz Stanisław Forę, 43-300 Bielesko-Biała, ul. Sobieskiego 43. 87

karnawałowe bale — Lidia Zak za wzorowe współzawodniczenie z komendantem prowadzenie balów.

PREZES ZO ZNP
Ryszard Kowalewski

Ośrodek Usług Pedagogicznych i Socjalnych ZNP, KOiW i Okręgowa Rada Kultury Fizycznej i Turystyki ZNP w Łodzi zorganizowali 24.1.1987 r. III Wojewódzkie Mistrzostwa Nauczycieli w Biegach Narciarskich w kategorii kobiet i mężczyzn na trzech dystansach (3 km, 8 km, 7 km).

Na dystansie 3 km zwyciężyła kol. Barbara Pacanowska z III LO przed I. Hołdrowicz z MOS.

Na dystansie 5 km najlepszymi byli: I miejsce Ryszard Zdrzałik — Szkoła Podstawowa nr 142, II miejsce Jan Maszarek — Szkoła Podstawowa nr 30, III miejsce Zdzisław Kadziak — Zespół Szkół Elektrycznych.

Na dystansie 7 km zwyciężyli: I miejsce Ryszard Zdrzałik — SP nr 142, II miejsce Jan Maszarek — SP nr 30, III miejsce Zdzisław Kadziak — ZSE.

Na zakończenie zawodów wszyscy uczestnicy otrzymali gorący posiłek, upominki i dyplomy.

TYGODNIK ODZNACZONY



KRZYŻEM KOMANDORSKIM ORDERU ODRODZENIA POLSKI



ZŁOTA ODZNAKA ZNP



MEDALEM KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ



KRZYŻEM ZA ZASŁUGI DLA ZNP

Adres redakcji: ul. Spasowalego 68, 60-389 Warszawa. Tel.: 36-10-11, 36-34-30, 37-66-30.

WARUNKI PRENUMERATY

Instytucje, zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach Instytucje zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, w których nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenach wiejskich odpłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę indywidualną zamówiła na wsi i w miejscowościach, w których nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” odpłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę indywidualną w miastach — siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” — odpłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych. Nadawczo-odbiorczych właścicieli dla miejsc zamieszkania prenumeratę Wpłaty dokonują używając blankietu wpłaty na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

Prenumeratę ze zleceniem wysyła się na granice przysyłając RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 38, 00-398 Warszawa. Konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumeratę ze zleceniem wysyła się na granice pocztą zwykłą listem droższym od prenumeraty krajowej o 30 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumerat na kraj i za granicę:

— do 15 listopada na I kwartał i półroczny roku następnego oraz na cały rok następny.

— do 15 listopada wliczając poprzedni okres prenumeraty roku bieżącego.

Koszty prenumerat krajowej na 1987 rok: kwartalnie — 195 zł; półrocznie — 390 zł; rocznie — 780 zł.

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo ich skracania i opatrzenia tytułami.

Reklamy i ogłoszenia przyjmujemy oraz informację udziela Biuro Ogłoszeń i Reklamy Wydawnictwa Współczesnego, 00-490 Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 28-24-11 wewn 193 i 231. Ceny ogłoszeń: drobne — 140 zł za 1 wyraz lub znak o oddzielnym znaczeniu; dla ogłoszeń dotyczących poszukiwania pracy przez nauczycieli — 50 proc. niższej; dodatkowa opłata za pośrednictwo w przekazywaniu ofert — 200 zł, kredytowe, komunikaty — 300 zł, nekrologi — 250 zł, reklamy — 250 zł za 1 cm².

Należność za ogłoszenia prosimy wpłacać na konto NBP III O/M Warszawa 1036-5223.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne, RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 00-617 Warszawa, ul. Nowogrodzka 84/85.

Nr indeksu 35923
PL ISSN 0017-1963
K-18
Str. 388

FABRYKA POMOCY NAUKOWYCH

im. Janusza Korczaka w Poznaniu

OGLASZA KONKURS

na projekty pomocy naukowych dla szkół podstawowych i średnich

Na konkurs prosimy nadsyłać własnego autorstwa projekty pomocy naukowych w postaci prototypu wyrobu lub opisu technicznego zawierającego niezbędne szkice oraz tekst pozwalający zrozumieć istotę rozwiązania, jego zalety, a także przeznaczenie pomocy naukowej w procesie dydaktycznym.

Najlepsze projekty zostaną wyróżnione następującymi nagrodami:

I nagroda — 40000 zł

II nagroda — 30000 zł

III nagroda — 20000 zł

Ponadto autorom projektów wdrożonych do produkcji przysługują bieżące wynagrodzenie wg ogólnych zasad wynagradzania twórców projektów wynalazczych. Fabryka zastrzega sobie prawo wyłączności wdrażania do produkcji wybranych pomysłów — projektów.

Zgłoszenia na konkurs przyjmowane będą do 31 lipca br. pod adresem Fabryki, ul. Miedzichodźka nr 3/5, 60-371 Poznań z dopiskiem „Konkurs”.

Komisijne rozstrzygnięcie konkursu wraz z rozdziałem nagród nastąpi w terminie do 15 września br.

K-33

Szkoła Podstawowa

i Liceum Ogólnokształcące

63-310 w Sobieszynie

gm. Ujęt

zatrudni

od 1 września 1987 r. nauczyciela języka niemieckiego. Zapewniamy mieszkanie.

K-61

Inspektor

Oświaty i Wychowania

78-520 ZŁOCIENIEC,

tel. 73-886

zatrudni

małżeństwo nauczycielskie o specjalności: filologia polska. Zapewniamy mieszkanie 2-pokojowe z wygodami w Domu Nauczyciela w miejscowości Stawno (7 km od Złocieńca — dojazd do Złocieńca autobusem szkolnym lub liniowym PKS).

K-60

JESTEM Z UPŁYWIAJĄCEJ WODY

Krytycy porównywali Halinę Poświatowską do młodo zmarłego na gruźlicę poety 20-lecia, Jerzego Lieberta albo do Katarzyny Manfield, angielskiej autorki opowiadań i wierszy z przełomu XIX i XX wieku. W ogóle do tych pisarzy, których krótki żywot upływał w świadomym wysiłku ze zbliżającą się przedwcześnie chwila ostateczna.

Taka atmosfera przeżyć i związanej z nią twórczości nie jest zjawiskiem rzadkim. Pod znakiem niechybnej śmierci pisał już w XVI stuleciu nasz Klemens Janicki. Pisarze okrutnie „wyróżnieni” przez los nie powoływali się jednak na swoich literackich poprzedników. Nie chodziło bowiem o nurt w sztuce, lecz o to, że „albo się żyje, albo się nie żyje (...) najgorszy jest stan pośredni” — jak pisała Poświatowska, dodając w wierszu, że „indywiduum nie znaczy więcej od liścia kołysanego na gałęzi”.

Biografia Haliny Poświatowskiej (nazwisko panienskie poetki brzmiało: Myga) upływała silnie i bezpośrednio na treść jej utworów, to znaczy czterech zbiorów wierszy i tomiku prozy.

Przy tym przebieg jej 32-letniego życia wchodził się w jakąś tragiczną legendę. Pisała od dziewiątego roku życia, ale i leczyła się stale od dzieciństwa. Nabawiła się bowiem ciężkiej wady serca. Przeróżne — i jakże uciążliwe — formy kuracji nie dawały wyników. Mając dziewiętnaście lat poznała w sanatorium młodego malarza, chorego na serce Adolfa Poświatowskiego.

Poślubiła go, aby po upływie dwóch lat zostać wdową.

Później, przy pomocy prof. Aleksandra-wicza i rodaków z amerykańskiej Polonii, Poświatowska zyskuje możliwość leczenia się w USA. W Nowym Jorku poddano ją prawie ośmiodziennej operacji i... przywrócono do życia. Niemal równocześnie ukazuje się w Krakowie pierwszy tomik jej wierszy — „Hymn bałwochwalczy”. Jako młoda autorka otrzymuje Poświatowska stypendium na studia w Smith College w Northampton. Do kraju powróci po kilku latach.

Ale już weszliśmy w krótki okres względnej poprawy zdrowia poetki. Przedtem i potem żyła ona w ciągłej obawie. Mogła zatem i o swojej twórczości napisać tak: „Jeśli poetów mierzy się wielkością niepokoju, to przeszedł własną genialność”.

A oto inne wyznanie autorki „Ody do rąk”:

„Miałam pełną głowę rymów i mogłam pisać rymowany wiersz na każdy temat. Te zajęcia nie miały jednak dla mnie większego znaczenia. Ważny był tylko świat za oknem, ulica, po której można biec do utraty tchu (chyba w wyobraźni!) słonco zaglądające każdego ranka na parapet okienny, wiatr rozrzucający garście pośólkich liści”.

Młodzieńczej poetce pozostał niewielki krąg życia, który w każdej chwili mógł się ściśnięć... aż do nieistnienia. Stąd intensywność najprostszych doznań: przy-

wiązanie do słonecznego blasku, do kwiatów, łaki, do „jutra paszory”, jak to oryginalnie sformułowała obserwatorka natury.

Stąd wiara w miłość, jedyną siłę, która odróżnia życie od śmierci. Brzmi to może po młodopolsku, ale — powiedzmy stanowczo — Poświatowskiej obca była każda poza i wszelki dekadentcki gest.

Należała przy tym do „materialistów zupełnych”, choć jak na ironię dom jej ojca — rzemieślnika leżał niemal u stóp Klasztoru Jasnogórskiego. Przyrodę traktowała jako jedyny świat, a siebie jako jej częstki. Późniejsze rozległe studia filozoficzne nie przyniosły innego rozwiązania zagadki bytu. Podobnie jak rozmyślanie nad sensem ludzkiego istnienia skłaniały poetkę nade wszystko do (aż takim słowem trzeba to nazwać) apoteozu miłości.

A o jaką miłość chodziło — posłuchajmy wypowiedzi Stanisława Grochowiaka: „Straciłem już nadzieję na podobny fenomen w polskiej kobiecej poezji. Na fenomen autentycznego erotyzmu. Wszystkie polskie pisarki erotyków (tu bluźnierstwo, bo nie wyłączałam z tej plejady nawet Jasnorzewskiej) nosiły na sobie mundurki z pensji imienia Emilii Plater. Ich erotyzm był przeżartym albo rakiem wstydu, albo zwyrodnieniem formy”.

Za to w twórczości Poświatowskiej dostrzegamy Grochowiak absolutną szczerość, rodzaj ekshibicjonizmu i to ceni bardzo wysoko.

Poetka nie była zwolenniczką awangardy ani też nie składała holdów poetyckiemu językowi. Przeciwnie, sądziła, że każdy przejaw prawdziwego życia jest o wiele cenniejszy niż jego słowny odpowiednik:

„pokazują mi słowa mówią zapach róży można odnaleźć w słowie a ja znajduję papier, papier i papier ani zapachu ani koloru”.

Z okresu studiów Poświatowskiej w Smith College zachowały się listy kierowane do Tadeusza Słwiaka, krakowskiego poety i aktora, przy tym serdecznego jej przyjaciela. Wypowiada się w nich młoda kobieta, niespodziewanie przywrócona życiu, chłonny obserwator.

Czytamy o trudnościach i pasjach poznawczych polskiej studentki w obcym środowisku. Halina Poświatowska poznaje „Dziennik” Gombrowicza i „Traktat poetycki” Miłosa. Chłonie filozofię i sztukę piękne. Jednocześnie wie, że wszystko to ma jedynie ograniczoną wartość wobec przeżytych już prób życia:

„Zafascynowanie kolorem lub uczuciem — to jeszcze nie to. A co? Nie pytaj mnie,

bo nie wiem (...) Studiuję metodologię i logikę, jak wiesz: symbole są bardzo suche i mają ładne kształty — nie znaczą nic”.

Za chwilę jednak autorka listu ożywi się:

„Potem czytam Szekspira, który jest w oryginale bardzo piękny i czytam Garcję Lorcę, który ma w sobie cały ból życia, i czytam Apollinaire’a i Eluarda, i dziwię się subtelnościom francuskiej natury, a potem milczę — po polsku”.

Zaraz też nastąpi wyznanie, w którym poetka przeczy jakby sama sobie: „Nie piszę, nie umiem; nie wydaje mi się, że to aż tak ważne, żeby pisać. Zafascynowanie słowami, własną płynnością, jest jak łapanie oczek na drutach, nianie słów na wiersze...”

Mimo to wniosek jest jeden: nie pisać nie można. A niezależnie od tego, co pisałaby Poświatowska w Ameryce jako myśliciel, cieszy się ona ze studiów i z własnych prób przekładów:

„Wlazłam po uszy w te różne nauki i w te dziwne języki i tak trudno sobie ugrać chociaż małą chwilę na przyjacielskie gwarzenie (...) Odkryłam takie słizności w tej amerykańskiej poezji”. A gdzie indziej powie: „W dodatku do moich francusko-angielskich wykładów nauczam się cichcem hiszpańskiego. Taki słizny język i po tych angielskich łamańcach ludzki jakis i łatwy”.

Spotkamy też w listach do Słwiaka opis Nowego Jorku — „najbardziej nabrzmiałego miejsca świata”: „Tyle kamieni, tyle spiętrzonych prostopadłe kamieni. To wciąga i na przekór szpetocie zaczynasz lubić. Mieszkam na Manhattanie miesiąc, a zdaje mi się, że mnóstwo lat, i wcale nie chcę jechać nigdzie”.

Tak się wydaje. Tesknota do symbolu Polski — Krakowa, do jego „zielonych wież”, okaże się silniejsza od wszystkiego i Poświatowska oczywiście wraca. Czwarty rok filozofii studiuję już na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tam też zostaje asystentką.

„Nie masz pojęcia — pisała — jak szybko można przyzwyczaić się do zdrowia”. Szybko i — niestety — na krótko. Jeszcze czeka ją wyjazd do Paryża, a potem w kraju — nawrót choroby.

11 października 1967 roku Halina Poświatowska zmarła w Krakowie.

„Czy słowa potrafią mnie bronić lepiej niż cisza?” — pytała w swoim pamiętniku.

Odpowiedzieć na to mogą tylko czytelnicy. Wydawnictwo Literackie przygotowuje drugie już wydanie „Wierszy wybranych” poetki z okazji 20 rocznicy jej zgonu.

przed META

ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

NAJSŁABSZE OGNIWO

Mam oto przed sobą kilkunastoniciowy tekst zatytułowany: „Stanowisko w sprawie stanu kultury fizycznej społeczeństwa i najpilniejszych potrzeb w tym zakresie”. Został on przygotowany przez Komisję Ochrony Zdrowia i Środowiska Naturalnego Rady Krajowej PRON. Po jego lekturze człowieka ogarniają niezwykłe smutne refleksje. Bo coraz tragiczniej z tężyzną fizyczną społeczeństwa, a szczególnie dzieci i młodzieży. Oto kilka stwierdzeń w tym materiale zawartych:

● Statystyczny Polak poświęca na czynne uprawianie sportu oraz wychodzi około 2 minut z 246 minut czasu wolnego jakim dysponuje w ciągu doby.

● Przeciętne dziecko uczestniczy w zajęciach sportowych w szkole 2,5 godziny tygodniowo. Stanowi to zaledwie trzecią część jego potrzeb.

● Odsetek uczniów wymagających szeroko pojętej opieki medycznej wynosi 40 proc.

● Wielu poborowych jest corocznie dyskwalifikowanych przez komisje lekarskie. Oczywiście każdy z nas mógłby w tej chwili przedłożyć swoją listę przyczyn tego stanu rzeczy. Jeśli zaś chodzi o mnie, to myślę, że główną przyczyną wpływającą na obraz tężyzny fizycznej Polaków jest słaby poziom szkolnego wychowania fizycznego.

Wychowanie fizyczne w polskim szkolnictwie jest najslabszym ogniwem kultury fizycznej w naszym kraju. I nie mogą tego faktu podważyć szkoły sportowe rozsiane po województwach oraz wszyscy nauczyciele, którzy

pomimo trudności i braku sprzętu, sal gimnastycznych, basenów — prowadzą zajęcia z młodzieżą na właściwym poziomie, w sposób ciekawy i atrakcyjny dla uczniów.

Czy są szanse na polepszenie tej sytuacji? Tak, ale żeby wzmocnić najslabsze ogniwo polskiego sportu należałoby:

Zwiększyć i to natychmiast wymiar obowiązkowych zajęć w szkole, rozpoczynać obowiązkowo każdą lekcję w 15-minutowej rozgrzewki i gimnastyki, w tym również gimnastyki na poręczach. Te zwykłą, prostą gimnastykę z wycieczkami ramion, przysiadami, podskokami, biegami, ćwiczeniami na drabinach i przyrządach. Tak nawiasem — który z maturzystów potrafi dziś zrobić stojkę na rękach, skoczyć przez konia z lekami, przejść po równoważni, fiknąć koziołka z rozbiegu, poćwiczyć na poręczach czy na drążku? Ba — sam pan uuefista nie potrafi tych ćwiczeń zademonstrować młodzieży! Należy traktować lekcje w poważnie, wznowić różnego rodzaju rozgrywki międzyklasowe, międzyszkolne, gminne i dzielnicowe. Zwiększyć i to zdecydowanie rekrutację młodzieży na studia w wyższych uczelniach wychowania fizycznego, powiększyć liczbę szkół kształcących nauczycieli w na poziomie średnim i pomaturalnym. Rozpocząć produkcję sprzętu sportowego na masowym poziomie i dostarczać ten sprzęt do szkół. Należy wreszcie rozpocząć prace nad przygotowaniem regulaminu zdobywania masowej odznaki sportowej uczniów. Taką

odznakę — brązową, srebrną i złotą — powinna być przyznawana uczniom w dniu święta sportowego szkoły z całą pompą i ceremoniałem olimpijskim, z udziałem dyrektora szkoły i rodziców. Trzeba radykalnie zmienić program sportowy telewizji, powołać odrębny zespół dziennikarzy sportowych zajmujących się właściwą propagandą sportu szkolnego, turystyki szkolnej, propagandą masowych imprez sportowych w pełnym tego słowa znaczeniu. Należy też jeden z licznych tygodników sportowych i młodzieżowych przeznaczyć na popularyzację idei masowych imprez turystycznych, szkolnych i młodzieżowych. W takim tygodniku każdy — i młody i stary — powinien znaleźć rady i wskazówki dotyczące jego stanu zdrowia, turystyki itp. Trzeba dostarczyć nauczycielom w właściwych broszur i opracowań, które mogłyby oni wykorzystać dla potrzeb sportu szkolnego. Absolwenci szkół wychowania fizycznego powinni — już od tego roku począwszy — przez pierwsze trzy lata pracować obowiązkowo w szkole! W tej chwili tylko nieliczni spośród nich wybierają pracę w szkolnictwie. Zajęcia w szkole powinni też prowadzić samodzielnie (!) studenci ostatniego roku! (18 godzin pensum w tygodniu). Za tę pracę oczywiście otrzymaliby zapłatę. Trzeba także opracować wieloletni plan „uzdrowienia” tężyzny fizycznej społeczeństwa i zacząć go systematycznie, konsekwentnie realizować.

Myślę, że problematyka tężyzny fizycznej nas wszystkich nie zginie wśród innych tematów na zbliżającym się II Kongresie PRON.

P.S. I jeszcze jedno: powszechna kultura fizyczna musi się znaleźć w centrum uwagi związków zawodowych oraz organizacji młodzieżowych. Bez konkretnych działań tych organizacji na rzecz sportu i wychowania fizycznego w masowym stylu i formie, nie będziemy w stanie poprawić zdrowia młodzieży i ludzi pracy. Trzeba umasować wszelkiego rodzaju sportaki i zakłady, rozgrywki między zakładami pracy, a ich uroczystego otwarcia powinni dokonywać ministrowie, naczelnicy i wojewodowie. (ZP)



W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH:

Przed spotkaniem Plenum ZG ZNP z Narodową Radą Kultury numer poświęcony kulturowo-rolni nauczycieli a w nim m. in. ● wywiad z prof. Ireną Wojnar ● „Literacki Głos Nauczycielski” a w nim laureaci konkursów ● o środowisku nauczycieli twórców z Łodzi